

Co jest pisane



Druga antologia Stajni Literackiej SPP 2016

Co jest pisane

Co jest pisane

Druga antologia Stajni Literackiej
Warszawskiej Szkoły Pisania
Stowarzyszenia Pisarzy Polskich
Oddział Warszawa



Stowarzyszenie
Pisarzy Polskich
Oddział Warszawa

© Copyright by Stowarzyszenie Pisarzy Polskich, Oddział Warszawa, 2016

Redakcja, wstęp, projekt graficzny, typografia, skład

© *Piotr Müldner-Nieckowski*

Rysunek na okładce

© *Anna Kulesz*

ISBN 978-83-938439-1-6

Warszawa 2016

Wydanie I

Wydawca: Stowarzyszenie Pisarzy Polskich, Oddział Warszawa

Druk: Mazowieckie Centrum Poligrafii

05-270 Marki, ul. Duża 1, www.c-p.com.pl

Wstęp

To nasza druga antologia. Książka niekomercyjna, przygotowana siłami społecznymi, bez żadnych dotacji. Zawiera utwory lub fragmenty utworów zebrane bez planu ideowego czy kompozycyjnego, autorzy są prezentowani w kolejności alfabetycznej. Odrzucono tylko teksty bardzo słabe, a mimo to jak łaskawy Czytelnik zauważy, są tu rzeczy naprawdę dobre, świeże. Są wiersze, jest proza, piosenka, felieton, szkic. Dla dorosłych, dla dzieci. Tomik ten dokumentuje działalność Stajni Literackiej SPP.

Minęły cztery lata od założenia Warszawskiej Szkoły Pisania przez Oddział Warszawski Stowarzyszenia Pisarzy Polskich (2012). Odbyło się pięćdziesiąt spotkań warsztatowych i kilka pokazowych. Grupa przyjęła nazwę „Stajnia Literacka SPP” i pod przewodnictwem niżej podpisanego co miesiąc spotyka się w zabytkowej auli Domu Literatury w Warszawie przy Krakowskim Przedmieściu 87/89. Jest to zespół dość liczny, stale ponadstudwudziestoosobowy, na spotkania przychodzi zwykle jedna trzecia, za każdym razem w nieco innym zestawieniu. W ciągu minionych lat drugie tyle – po (nie)sprawdzeniu się – odpadło, ale dochodzą nowi.

Początki Stajni opisano i utworami zilustrowano w 2012 r. w antologii pt. „Coraz lepiej”, która została przyjęta więcej niż życzliwie. Książkę początkowo odbierano z pewną rezerwą, ale w miarę czytania uśmieszek uprzedzenia z twarzy niedowiarków znikał. Rzecz okazała się nieokazjonalna, w tomiku jest dużo utworów dojrzałych, ciekawych, nie dziw więc, że był przedmiotem uniwersyteckich analiz literaturoznawczych, a być może jeszcze innych, o których nie wiemy.

Stajnia Literacka SPP jest odpowiednikiem dawnego Koła Młodych, które istniało przy Związku Literatów Polskich (ZLP) do roku 1983. Wtedy jednak ZLP, a wraz z nim Koło Młodych, zostały przez komunistyczne władze rozwiązane i tylko niektórzy literaci, kierowani konformizmem albo przywiązaniem do komuny, zapisali się do naprędce przez peerelowskiego dyktatora utworzonego nowego ZLP, nazwanego przez pozostałą większość pisarzy *neozłepem*. O autorach początkujących w neozłepie zapomniano. Większość znanych i cenionych twórców czekała na lepsze czasy. Nadeszły dopiero w 1989.

Niemal natychmiast po słynnych wyborach parlamentarnych 4 czerwca 1989 przystąpiono do odtwarzania literackiej organizacji twórczej wysokiego poziomu, która zebralaby przede wszystkim pisarzy nienależących do neo-zlepu. Statut napisał profesor **Wiesław Chrzanowski**. Nie można było wrócić do historycznie uzasadnionej nazwy, bo została zajęta przez neo-zlepi, przyjęto więc, że odtworzona największa liczebnie organizacja literacka w Rzeczypospolitej będzie się – zgodnie z pomysłem **Mariana Grześczaka** – nazywać Stowarzyszenie Pisarzy Polskich (SPP). Pierwszym prezesem SPP został **Jan Józef Szczepański**, który był ostatnim prezesem ZLP sprzed 1983 r. To on w znakomitej książce wspomnieniowej pt. „Kadencja” opisał proces degradowania środowiska literackiego przez komunę w latach 1980-1983. Stowarzyszeniu udało się odzyskać prawo nie tylko do majątku drobnego, w tym biblioteki, archiwów i mebli, ale przede wszystkim do lokali w Domu Literatury oraz do domów pracy twórczej w Konstancinie-Jeziornie („Obory”, niestety dziś już pisarzom odebrane przez właścicieli prywatnych) i Zakopanem („Astoria”). Dobra te zostały przydzielone trzem organizacjom do użytkowania wspólnego: SPP, ZLP i PEN Clubowi.

W SPP już na samym początku działalności, w czasie pierwszego walnego zgromadzenia, formułowano idee opieki nad twórcami początkującymi, ale jakoś później to się z różnych powodów nie udawało. Zmianę przyniósł dopiero rok 2012. Oddział Warszawski po raz kolejny wystąpił do władz Warszawy o dotację dla Warszawskiej Szkoły Pisania przy Oddziale Warszawskim SPP na prowadzenie wykładów „dla młodych”, uruchomienie dla nich strony internetowej i wydanie książki debiutantów. Oczekiwaliśmy tradycyjnej odmowy, bo Warszawa od 2008 ignorowała istnienie SPP. Tymczasem ku powszechnemu zdumieniu wsparcie finansowe na „Warszawską Szkołę Pisania” zostało przyznane. Cóż to była za radość! Natychmiast skorzystaliśmy. Co prawda środki były niewielkie, wystarczyły ledwie na kilkanaście tygodni pracy, ale start nastąpił i Szkoła mocno zaznaczyła swoje istnienie. Od stycznia 2013 pieniędzy już nie było, jednak praca przy Szkole przewidująco została zaprogramowana jako całkowicie społeczna, oparta na wolontariacie, toteż machina była w ruchu i do dzisiaj dbamy o to, by się nie zatrzymała. Niech zostawia po sobie coraz głębsze koleiny.

Inicjująca grupa potencjalnych literatów przerodziła się w Stajnię Literacką SPP. To jest fakt. Są w niej starzy wiekiem, ale młodzi duchem. Są i młodzi – uczniowie, studenci. Członkowie Stajni czują się w swoim gronie czymś w rodzaju rodziny. Zawiązały się przyjaźni. Nadal każdy, kto chce się doskonalić w pisaniu, może przyjść, wpisać się na listę, podać adres e-mail i nic nie tracąc z własnej osobowości, zostać uczestnikiem grupy, dodajmy: z miejsca akceptowanym. Na spotkaniach mówimy prawdę. Otwarcie, bez ogródek. Dla utworów słabych nie ma litości. Dla dobrych jest pochwała. Są analizy, porady, każda opinia musi być poparta intelektualnym i (albo) artystycznym

dowodem. Mówienie po próżnicy spotyka się z dezaprobatą. Tylko w ten sposób możemy się uczyć szacunku dla sztuki i czerpać radość z tworzenia. Kto tego nie pojmuje, samoczynnie odpada, ale przychodzą następni. O atmosferze w tym zespole niech świadczy list jednej z koleżanek, **Lidii Troć**:

Drogi Panie Profesorze, Wodzu Naszej Ukochanej Stajni, aż trudno uwierzyć, że upłynęły już dwa długie tygodnie od „Prezentacji Stajni”. Warszawska Szkoła Pisania nie jest zwykłą szkołą, która uczy podstaw, zasad. Warszawska Szkoła, a w niej STAJNIA, to zjawisko socjologiczne. Powstała zbiorowość połączona czymś nieuchwytnym, trudnym do nazwania. Duch poezji czy prozy miesza się z codziennym życiem, a ludzkie przyjaźnie mają tu całkiem inny wymiar – nie przypuszczałam, że doświadczę takich znajomości. Ten duch połączył nawet rodziny, a najwspanialsze jest to, że SŁOWO łączy cztery POKOLENIA. Codziennność czasem męczy, nie daje wytchnienia na pisanie, na bycie w zadumie, ale SŁOWO jest cały czas w nas, nie zawsze chcąc ujrzeć światło. Jeszcze niedojrzałe, delikatne, całe w emocjach, ale towarzyszy i pozwala każdą chwilę przeżyć wierszem. Czasem wybuchą, a my ten ogień do szuflady, niech ochłonie – i tego właśnie uczy szkoła. Po dwóch tygodniach w szufladzie moje podziękowania nadal są tak samo gorące.

Polecam także lekturę znajdującego się w tym tomie wiersza **Hanny Sławińskiej** pt. „Wtorek godz 16. Warszawska Szkoła Pisania”, który kapitalnie oddaje sens spotkań Stajni.

Kilka osób ze Stajni zostało już przyjętych do Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, a warto podkreślić, że taki awans nie jest łatwy do osiągnięcia. Rzecz ciekawa, koleżanki i koledzy, którzy ze Stajni przeszli do SPP (na nasze zebrania nadal czasem przychodzą), początkowo zapowiadali się niezbyt atrakcyjnie, ich „wierszyki” i „opowiadanka” były warsztatowo i artystycznie mizerne. Wystarczył jednak udział w kilku spotkaniach, w kilku rozmowach prywatnych z opiekunem Stajni i pisarzami ekspertami, żeby spod ich pióra wykwitły utwory, ba, całe książki – atrakcyjne, spełniające wyśrubowane kryteria Komisji Kwalifikacyjnej SPP. Takich kandydatów na „prawdziwych pisarzy” można w Stajni dostrzec sporo. Niektórzy już mogliby się starać o członkostwo SPP, a jedyną przeszkodą jest zbyt mały dorobek publikacyjny, którego wymaga statut Stowarzyszenia. Dowodem na to niech będzie niniejsza antologia, wydana pod egidą Oddziału Warszawskiego Stowarzyszenia Pisarzy Polskich i z energicznym wsparciem pani prezes – **Małgorzaty Karoliny Piekarskiej**.

Na spotkania Stajni zapraszamy znanych pisarzy z SPP. Doświadczeniem, refleksjami o twórczości literackiej, tajemnicą kuchni artystycznej dzielili się w ostatnich latach (niezapomniane to były wystąpienia!) twórcy tej miary co **Ernest Bryll, Katarzyna Boruń-Jagodźńska, Janusz Drzewucki,**

Darek Foks, Magdalena Jankowska, Marek Ławrynowicz, Krzysztof Koehler, Wojciech Kudyba, Piotr Matywiecki, Jacek Moskwa, Małgorzata Karolina Piekarska, Małgorzata Strękowska-Zaremba, Agnieszka Syska, Leszek Szaruga, Marcin Wolski, Janusz Zaorski.

Gości miewamy więcej. Zawsze serdecznie ich witamy. Niekoniecznie prowadzą wykłady. Bywa, że przychodzą nieoczekiwanie. Siadają na sali gdzieś z boku i się przysłuchują, żeby w trakcie dyskusji nagle odezwać się z uwagą, którą uczestnicy będą pamiętać długie lata. Życzliwe słowo, odpowiedź, gest niechęci lub aprobaty – to wszystko może znacząco wpłynąć na literackie losy osoby dotychczas uwięzionej w mało wartościowych schematach. Nieśmiały kandydat na literata, konfrontujący swoje próby z kolegami ze Stajni i z pisarzami dojrzałymi, w czasie spotkań stopniowo zaczyna się orientować, czy może pisać i publikować, czy raczej będzie grafomanem; czy może wiązać swoje losy z posiadanym talentem, czy też będzie tworzyć tylko do szuflady albo z okazji rodzinnych uroczystości.

W czasie warsztatów nikt nie mówi, że jest łatwo. Pisanie to praca fascynująca, ale ciężka. Wymaga wyrzeczeń i odporności. Pisanie literatury nauczyć się nie można, z tym człowiek się rodzi albo nie, jednak nieraz konieczne okazuje się ujawnienie i pobudzenie drzemiącego talentu, uruchomienie samodzielności. Potrzebna jest edukacja językowa, estetyczna i edytorska. Najczęściej zaś chodzi o wyzwolenie z ograniczeń narzucanych przez stereotypy szkolne; przez literaturę zastaną; przez wszechobecne media, które upraszczają świat i sprowadzają kulturę do taniej sensacji i prostackiej rozrywki; przez układy środowiskowe i zawodowe, które z niechęcią, a może i zazdrością, odnoszą się do autorów, lekceważąc twórczość jako pracę, wartość humanistyczną i materialną; przez wiele jeszcze innych czynników, trzymających iskrę bożą pod obezwładniającą kontrolą.

Spotkania Stajni Literackiej SPP niezmiennie odbywają się w auli Domu Literatury co miesiąc we wtorki o godzinie 16. Istnieje strona internetowa pod adresem <http://spp.warszawa.pl>. Ze stajnią można się kontaktować e-mailem: stajnia@spp.warszawa.pl. A najlepiej przychodzić na zebrania.

*Piotr Müldner-Nieckowski
Opiekun Stajni Literackiej SPP*



Po wieczorze autorskim członków Stajni Literackiej SPP.

Oddział Warszawski Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, aula Domu Literatury w Warszawie, 12 kwietnia 2016.

Katarzyna Marta Chrzanowska

* * *

kat płacze
okazało się
że ofiara może odejść

w siną dal do kochanków

kat płacze
wygląda przez okno
czeka na jej powrót
pod nóż

kat jest samotny
jak pies
wyje do księżyca

kogo będzie ranił

Po... mieszanie

przewietrz tę pościel
sypiają pod nią
goście
strącają z ciał
rytmicznie wyciskane
krople

jej lez

już w to nie mieszaj

Rozwód

przeszłości nie ma
do czego wracać
pies wypędzony

z ogrodu
szczeka
na bezdomność dzieci
marzenia o powrocie
do łona

smycz na zawsze wypuszczona
z żelaznej dłoni

stół i krzesła wywiezione
dwa złote za kilometr

drogie oddalenie

* * *

w stogu codzienności
szukam igły
sensu
by nawlec na nią
nić pajęczą życia

gdzie jest ten pająk
który wydalil
tak nieostrożnie

gdzie ucho igielne
przez które przejdzie
bagaż cenny
doświadczeń

i kto zezwala
na smutne tango
igły z nitką

Odosobnienie

już nikt nie wyznacza
traktu na niebie
już nie ma

żadnych ścieżek
gdziekolwiek się nie zwrócę
i tak nie ma dokąd

uciec

Iluzje

reżyser snów
zasnął
zaczęłam wierzyć że to realne
czas religie ego
emocje
dobro zło białe czarne

i stało się

ryby
wpływają do portów
sieci

Jakub Domoradzki

Odkrywanie

Myślałem, że odkryłem
nowy kontynent
i jak to mają w zwyczaju
podróżnicy
ukłęknałem
i ucałowałem ziemię,
którą właśnie włączyłem
do znanego nam świata.

I dopiero wiele lat później
zrozumiałem,
że wcale nie odkryłem nic nowego,
a jedynie ucałowałem
leżące pod moimi stopami
kobiece usta.

Były tak spragnione
pocałunku,
iż z łatwością uwierzyłem,
że to ja pocałowałem je po raz pierwszy.
A one nadal tam leżą
i czekają na następnego
podróżnika.

Jak wdzięcznym ładem
są kobiece usta -
bo ktokolwiek je pocałuje -
będzie ich odkrywcą...

W końcu szczęśliwy sen

Przeglądałem właśnie
pamiątki
z chwil naszego szczęścia:
bilety, zaproszenia,
zdjęcia, rysunki,
wiersze, listy...

I z tęsknoty
za tym szczęściem,
włożyłem
to wszystko
pod poduszkę.

Dziś śpię
już na siedząco.
Dziś śpię
w końcu szczęśliwy...

Sceny małżeńskie

Moja żona
została wdową
w dniu, w którym
za mnie wyszła.

Bo nie było dnia,
w którym nie podarowałbym jej
czerwonych orchidei słów,
lecz nie było też dnia,
w którym
popatrzyłbym jej w oczy
i zamiast muzy
zobaczył kobietę
żyjącą w prozie życia...

Moja żona
została wdową
w dniu,
w którym wyszła za poetę.

Maria Domżał-Wasilewska

Tai chi

Co znaczy to tajemne słowo tai chi?
Te dwie sylaby nikomu nieznane,
przez chińskich mędrców dawno wymyślone,
w cichych klasztorach przez wieki skrywane.

Na sali cisza.
Tłum ludzi w milczeniu
porusza się jak gdyby
zanurzony w gęstym miodzie

I tylko czasem słychać
krótką komendę:

PROSTY BAT
LOT PRZEKĄTNY
ZACHMURZYĆ, ODCHMURZYĆ
SKRZYPCE
WAŻ
ZŁAP PTAKA ZA OGON
MUŚNIJ KOLANO...

Ręce unoszą się i opadają
Delikatnie muskając powietrze.
Nogi wrastają w ziemię
Biodra otwierają się
Każde ciało porusza się
W tym samym rytmie
Jak w magicznym tańcu

Jesteś tu i teraz.
Poznajesz swoje ciało,
jego możliwości i ograniczenia,
odkrywasz siebie.

Tajemnica została odsłonięta.
Każdy może doświadczyć
jej niezwykłych skutków.

Wystarczy tylko ćwiczyć
w skupieniu,
najlepiej jak potrafisz,
a odczujesz jedność ducha, ciała i umysłu.
Harmonię

Zostaw tylko w szatni
obuwie i swoje ego
Nie będą ci tu potrzebne.

maj 2000 r.

Seminarium poetyckie

Idę przez Ogród Saski
poezją wzruszona
w wykonaniu mistrzowskim
Wojciecha Siemiona
co tak poezję czuje
jak ogar zająca
lub jak ryba wodę

On może bez końca
sypać przed swym słuchaczem
jak z ciasta rodzynek
smakowitych wersetów
wybrane kruszynki

Nim je poda
to wprzód
w swych ustach smakuje
barwą głosu doprawia
i rytm odnajduje

Nie sposób wprost opisać
jak On słowem włada
to tnie nim zamazyście
jak stalowa szpada

To nagle głos zawiesza...
nim pauza przeminie

w głęboką wchodzisz ciszę
jak arab w pustynię

To znowu spada z hukiem
jak Niagary wody

Slucham patrzę i myślę...
On jest ciągle młody
i nieważne są lata
przy potędzie ducha.
Tak powie każdy, sądząc,
kto słów jego słucha

Objaśnia przy tym czucia
poety, gdy tworzył
rysuje jego obraz,
który w widzach ożył
i...
wpuszcza nas w las mroczny
przez „w gałęziach przeziór”.

W malinowym chruśniaku maliną częstuje
aż ciszę, smak i zapach wokoło się czuje.

To znów tragiczne dzieje więźniarki opisze
jakby tam był i dzielił tę więzienną ciszę
i żal za życiem młodym brutalnie zgaszonym

Kiedy dobiegła końca uczta ta wspaniała
jak na polu makowym, cisza zalegała,
a duch poezji w każdym sercu ślad zostawił.

tak właśnie dzisiaj Wojciech
z nami się zabawiał.

Warszawa, w Ogrodzie Saskim, 14.04.2008

Hanna Fołtyn

Ptak z lękiem wysokości

Gdy się wykluł z jajka, ślepy, ze skurczonymi nóżkami i mokrym puchem, wyglądał zupełnie normalnie, jak inne pisklęta. Wkrótce wysechł i myślał już tylko o tym, kiedy dostanie jeść. Czekał na przylot rodziców, otwierał szeroko dzióbek, dostawał jeść i rósł.

Wkrótce był już sporym podlotem, któremu zaczęło się robić ciasno w gnieździe. Któregoś dnia znudzony oczekiwaniem na kolejną porcję jedzenia, spojrzał w dół „O kurczę, ale wysoko” – pomyślał i cofnął się szybko w głąb, bo odniósł wrażenie, że zaczęło mu się kręcić w lebkku. – „Niemożliwe” – myślał dalej, ale na wszelki wypadek nie wychylał się już tego dnia.

Wkrótce wszystkie pisklęta zaczęły próbować swych sił w machaniu skrzydełkami. Stawały na krawędzi gniazda i machały nimi, choć na razie niewiele z tego wychodziło. Wszak na skrzydełkach ledwo pojawiały się pierwsze piórka.

Tylko on siedział na dnie i udawał, że zajmuje się zupełnie czym innym, jakby przygotowania do latania wcale go nie obchodziły. Rodzice trudzący się wciąż zdobywaniem pożywienia, nie zwracali na to uwagi, sądząc, że ćwiczy latanie podczas ich nieobecności.

Usiłował kilkakrotnie wyrzucić poza gniazdo, ale za każdym razem, coraz bardziej męciło mu się w lebkku, a gdy patrzył w dół, robiło mu się tak niedobrze, że o mało nie zwracał zjedzonych robaków. Zawsze kończyło się to tak samo. Więc starał się nawet nie zerkać poza krawędź.

Wreszcie jego bracia zaczęli latać. Początkowo blisko, zatrzymując się co chwila na gałęziach drzewa, ale stopniowo coraz dalej i wyżej. Szło im łatwo. Wkrótce już sami zaczęli troszczyć się o własne wyżywienie.

W tej sytuacji rodzice coraz mniej zajmowali się jego karmieniem. Patrzyli z troską i zdziwieniem na siedzące pośrodku gniazda pisklę, a właściwie dorosłego ptaka, który lęka się nawet z niego wyrzucić. Nie pomagały piski, śpiewy, pokazy machania skrzydłami ani loty rodziców. On po prostu bał się i już.

Ponieważ rodzice przylatywali z robakami coraz rzadziej, bywał coraz częściej głodny. Zmusiło go to do zastanowienia się nad sobą i swoim losem. Pomyślał, że jeśli nie przedsięwzięmie żadnych działań, to zdechnie z głodu i nikt mu nie pomoże. Doszedł do wniosku, że jeśli nigdy nie odważy się latać (na samą myśl o tym dostawał gęśiej skórki), to może mógłby chodzić. Powziął więc decyzję o ćwiczeniu nóg. Nie było to łatwe w małym gnieździe,

ale robił postępy. Poruszał palcami, stopami, machał nogami z całych sił i wkrótce odniósł wrażenie, że mu znacznie urosły. Mógł chodzić. Ale gdzie?

Gniazdo znajdowało się na jednej z najwyższych gałęzi starej wierzby. Do ziemi było daleko. A najgorszy ze wszystkiego był lęk przed wysokością. Coś jednak trzeba było zrobić. Tym bardziej, że od kilku dni rodzice przestali w ogóle przylatywać z jedzeniem i zajmowali się własnym życiem. Bracia dawno już latali gdzieś daleko i wysoko.

Trzeba było się na coś zdecydować, albo zdechnąć z głodu. Postanowił działać. Zamknął oczy. Ostrożnie przysiadł na krawędzi gniazda od grubszej strony gałęzi. Wystawił nogę poza krawędź, wyczuł gałąź, postawił na niej nogę, potem drugą, przycisnął skrzydła do boków, nie otwierając oczu, odbił się i skoczył. Poczul, że spada. Uderzył główką w jakąś gałąź, zaczął stopą o liść, uchylił na chwilę powieki. Zrobiło mu się niedobrze i bach – rąbnął o ziemię. Na chwilę zapało mu dech w piersiach. Świat się kołysał, ale wkrótce wszystko się uspokoiło. Poczul, że leży na plecach. Otworzył oczy. Zobaczył nad sobą żółtą trawę, wyżej gałęzie drzewa i prześwitujące przez liście słońce. Odetchnął głęboko. Zamachał nogami i przyjął stojącą postawę. Rozejrzał się wokół. Czuł się nieźle. Nie kręciło mu się w głowie. Wokół miał dużo miejsca, było płasko, żadnej wysokości. Gdyby nie głód, byłby prawie szczęśliwy.

Wtem zobaczył niedaleko wylazącego z ziemi robaka. Podbiegł, dziobnął. No – o to chodziło. Rozejrzał się wokół i zobaczył wiele rzeczy, które wyglądały na zdatne do jedzenia. Nogi niosły go dobrze, więc już nie czekając zaczął szukać czegoś do połknięcia.

Nagle posłyszał szelest, obejrzał się. Coś wielkiego z dwoma błyszczącymi jak latarnie oczami i groźnie nastawionymi wąsami patrzyło na niego badawczo. „Uciekać” – zaświtało mu w głowie – „uciekać”. Zaczął biec, przebiegał szybko nogami, żółta trawa stawiała mu na drodze, obijały mu skrzydelka, przeszkadzały, a to coś wielkiego goniło go. Było tuż, tuż. „Może by pofrunąć” – pomyślał w popłochu – „ale przecież nigdy nie próbowałem tego robić, a poza tym ta wysokość, to straszne”.

W tej chwili zobaczył przed sobą dziurę, bez namysłu wbiegł tam i przyczaił się. To, co go goniło, zatrzymało się, zamiauczało, chwilę poczekało, w końcu odeszło. Uciszył szybko bijące serce, poczuł się bezpieczny. Dziura okazała się wąskim przejściem do wielkiego, mrocznego pomieszczenia. Po chwili rozejrzał się ostrożnie. Leżały tu różne okruchy, słoma, a przede wszystkim ptasie odchody. Poczul się swojsko. Słyszał piski, kłaskanie, ciamkanie. Niedaleko biegало i coś dziobało stadko żółtych, ledwo opierzonych piskląt, podobnych do jego braci, gdy byli mali. Nad nimi puszył się wielki, nastroszony ptak wydający dziwne, gdaczące odgłosy. Ponieważ nie wyglądało to groźnie, a brzuszkiem w dalszym ciągu burczał mu z głodu, podszedł

bliżej. Małe ptaszki nie zareagowały, a duży tylko popatrzył w jego stronę i całkowicie go zignorował.

„Nieźle” – pomyślał i zaczął dziobać rozrzucone wokół ziarno. Zbliżył się w ten sposób do gromadki pisklaków. Wkrótce znalazł się między nimi. Gdy otworzyły się drzwi i w jasnym tle pojawiło się coś ogromnego na dwu nogach, wszystkie pisklęta schowały się pod skrzydła dużego ptaka. Zrobił to samo. Poczuł, że jest w gromadzie. Było mu ciepło i bezpiecznie. Westchnął i zasnął.

Szybko przywykł do nowej rodziny. Nikt nie protestował. Wychodził więc ze wszystkimi na podwórko, a potem wracał do pomieszczenia. Początkowo ktoś usiłował go łapać, ale wtedy szybko chował się pod skrzydła przybranej, wielkiej matki. Jadł do syta, biegał, czasami nawet podśpiewywał, czuł się zadowolony z życia.

Wkrótce wszyscy przywykli do widoku niezwyklego ptaka, który nie chciał latać i przystosował się do podwórkowego życia.

20.02.2016

Hanna Fołtyn

Raj utracony

Zanim Bóg stworzył Ewę,
Adam żył w raju,
nic nie rozumiejąc,
przechadzał się bez celu,
patrzył i nie widział,
nie podziwiał piękna,
nie odczuwał radości,
egzystował w niewiedzy.

Gdy z jego żebra
wykluła się Ewa,
poczuł się niepełny,
zaczął uważniej patrzeć,
zobaczył kolory,
zatęsknił do miłości,
dał się łatwo namówić
na rumiane jabłko.

20.06.2016

Podróże ostateczne

Trzymała go w ramionach,
aż do bólu rąk,
błagała by został,
tłumiła lzy.

A on już widział drugą stronę lustra,
anioly oceniły mu twarz skrzydłami,
już nie pojmował ciężaru bytu.

Uśmiechnął się przepraszająco,
wziął na drogę ostatni oddech,
odszedł.

Ona będzie teraz

liczyła paciorki dni,
zagrzebywała wspomnienia,
rozrywała na strzępy nocne koszmary.

Będzie samotnie czekała
na własną
ostatnią podróż.

20.01.2016

Niezdobyta

Zobaczył ją,
wpadł w zachwyt,
dotknął palcami jej włosów,
musnął wargami jej usta
i pomyślał, że zdobył cały ląd.

Tymczasem była to tylko
wyspa pocałunku,
oddalona o tysiące mil
od ziemi obiecanej.

Wybuchaly na niej gejzery namiętności,
rozciągały się równiny pieszczot,
meandrowały rzeki wzruszeń,
piętrzyły góry rozkoszy,
lśniły jeziora czułości.

Jeszcze nie wiedział,
że nigdy tam nie dopłynie.

20.01.2016

Jolanta Maria Grotte

Niezapomniana podróż

Dojrzewał zimowy grudniowy ranek. Mróz zawiesił w powietrzu mocny, zimny oddech... Anna spoglądała w okno i z przerażeniem patrzyła na puste ulice Odessy. Życie jakby zamarło, nie było żywej duszy. Szósta rano. Janusz jeszcze smacznie spał, nie chciała budzić męża. Wiedziała, że przed nimi długa męcząca podróż do domu. Te cztery dni, w czasie których gościli u Olgi, minęły im błyskawicznie. Olga miała córkę Nataszę i trzyletniego wnuczka Andreja, była wdową. Natasza sama wychowywała swojego synka przy ogromnej pomocy swojej matki. Były to dobre kobiety, bardzo pracowite, nad podziw samodzielne, które bez mężczyzn radziły sobie znakomicie. Wszystkie męskie prace wykonywały same, nie prosząc nigdy sąsiadów o pomoc. Natasza młoda, krzepka kobieta, której praca ciągle paliła się w rękach, miała silny, twardy charakter, niejeden mężczyzna nie dorównywał jej poczynaniom.

Gdy wczoraj przy prasowaniu popsulo się żelazko, od razu wzięła się do naprawy, co uczyniła szybko i dobrze. Janusz przyglądał się temu z niedowierzaniem i uznaniem.

Olga z Nataszą serdecznie ugościli Annę i Janusza. Nie było żadnych barier, wszyscy czuli się jak jedna rodzina. Pomagały im w zakupach, jakie planowali zrobić w Odessie. Z początku było bardzo trudno, mieli mało czasu, ale kobiety poruszyły wszystkie znajomości, by goście z Polski kupili to, co planowali.

Telewizor kolorowy, najważniejszą rzecz, udało im się załatwić w ostatniej niemalże chwili przed wyjazdem. Olga uszyła im dużą torbę brezentową na wymiar, by łatwo mogli go przenosić.

Odwracając się od okna Anna popatrzyła na bagaże, ustawione równo koło siebie tak, by czasem któregoś nie zapomnieli. Spojrzała na zegarek, aż westchnęła, że czas tak szybko mija. Nie ma rady trzeba się pośpieszyć, pomyślała w duchu. Podeszła do śpiącego Janusza i szepnęła mu do ucha:

– Kochanie...wstawaj, już czas. Pogoda nie najlepsza. Musi być bardzo zimno, żywej duszy nie ma na ulicach, nikogo nie widać, widziałam przez okno. Słyszysz co mówię?... Wstawaj kochanie. Olga z Nataszą są już dawno na nogach, wciąż uciszają Andrejka, by dać nam jeszcze trochę pospać, on od dawna już nie śpi. Czujesz jakie nęcące zapachy dochodzą z kuchni... pewnie szykują nam smakowite śniadanie i jedzenie na drogę.

Janusz otworzył najpierw jedno oko, potem drugie i przyciągnął ją raptownie do siebie, by pocałować w usta. Celowo dość długo nie otwierał oczu,

udawał, że śpi, lubił, jak tak czule do niego mówiła zawsze rano, gdy się pierwsza obudziła.

– No coś ty, kochanie... nie ma czasu teraz na miłość, jest już późno. – Nie zdążyła nic więcej powiedzieć, bo znalazła się w silnych ramionach męża. Zatopieni w sobie zatracili się na chwilę, nie zważając na nic, co się wokół dzieje. Dopiero oprzytomnieli, gdy usłyszeli delikatne pukanie do drzwi ich pokoju.

– Anno... Janusz... wstawajcie, musimy wyjść wcześniej z domu, pogoda jest nienajlepsza, jakaś dziwna – powiedziała Olga.

– Tak, tak... za minutę będziemy gotowi – odpowiedziała Anna. Patrząc na przestraszonego Janusza, parsknęła śmiechem prosto w swoje dłonie, tak by Olga nie usłyszała.

Po chwili Janusz doszedł do siebie. Zadowolony, szczęśliwy z iskierką w oczach cicho powiedział do żony.

– Nieprzyzwoita jesteś... wiesz? ale kocham cię taką, Anno.

– No już dobrze kochanie – powiedziała z wypiekami na twarzy i radosnymi oczami. – Chodźmy czym prędzej, niech nie czekają.

– Aniu... czujesz ten zapach... to pewnie pieremieni, pierożki, które wczoraj robiły do późna. Ale pyszne, smakowały mi bardzo, gdy poczęstowały nas pierwszego dnia pobytu. Są wyśmienite, będę tęsknił za nimi po powrocie do domu... i za takimi porankami – dodał po chwili, patrząc w jej ciemne łagodne oczy.

Uśmiechnęła się tylko, wzięła go za rękę i wyszli z pokoju.

Gdy pojawili się w kuchni, prawie gotowi do wyjścia, Olga z Nataszą od razu podały gorący posiłek z pyszną białą kawą, zapraszając do wcześniej przygotowanego już stołu. Mile zaskoczeni usiedli do wspólnego śniadania. Olga z Nataszą odmówiły modlitwę, tak jak to robiły zawsze przed podróżą każdego, kto wychodził z ich mieszkania.

– Najdalej za godzinę musimy wyjść – odezwała się Olga, spoglądając nerwowo w okno. Nie chciała pokazać po sobie, że jest podenerwowana pogodą, która z minuty na minutę zmienia się na gorszą.

Wszyscy aż znieruchomieli. Zaczął padać wielki deszcz, ulewa, jakby wiadrami lano wodę z nieba. W tym czasie nasilał się z minuty na minutę mróz. Deszcz zamarzał w locie. Tworzyły się ogromne sople, które swoim ciężarem łamały drzewa, zrywały sieć elektryczną, robiło się bardzo ślisko. Miasto skute lodem. Chodniki błyszczwały z daleka jak białe złoto. Na ulicach zapanował popłoch, ludzie przewracali się na chodnikach, łamali ręce i nogi. Z domu wychodzili tylko odważni i ci, którzy musieli zdążyć do pracy. Odesa sprawiała wrażenie miasta pod lodowcem uwiecznionego czasu.

Wszystko zastygło w jednej chwili, znieruchomiało. Wyglądało jak w bajce Andersena. Jakby je wróżka tknęła palcówką. Jakby się czas zatrzymał. Komunikacja stanęła, autobusy, samochody osobowe wyglądały jak oblane

przezroczystym żelem. Właściciele nie mogli się do nich dostać. Zamarzały zamki, wszystko marzło w locie. Wydawało się, że także powietrze, nawet ptaki nie latały, siedziały cicho, nieruchomo, niczym figurki woskowe na dachach. Ławki na chodnikach przeistoczyły się w bryły lodu złane w całość z chodnikiem.

Na ulicy stali długo przed domem, chcąc złapać okazję, by jak najprędzej dostać się na dworzec. Ale czy pociągi odjeżdżają...? – zadawała sobie pytanie Anna. Była bardzo zdenerwowana, wiedziała, że jeśli nie odjadą dzisiaj, to stracą bilety, które mieli wykupione w Polsce. A tu musiałby stać się cud, żeby dostać bilety ot tak w okienku kasowym. W tamtych czasach było to niemożliwe.

– Natasza!! – krzyknęła Olga – biegnij po sąsiada z siódmego piętra, może odwiezie nas swoim samochodem na dworzec. Srogo spojrzała na córkę. – Prędko!!! Pośpiesz się, czasu mamy niewiele, pociąg nie zaczeka. No szybko, szybko – ponagliła córkę, widząc, jak czas nieubłagalnie ucieka.

Ledwo zdążyli przed odjazdem pociągu. Gdyby sąsiad nie zgodził się ich zawieźć, pewnie zostaliby w Odessie z nieważnymi biletami w rękę. Sporo by to ich jednak kosztowało. Musieli mu zapłacić aż pięćdziesiąt rubli, które pożyczili od Nataszy do rozliczenia w Warszawie, gdy ta wiosną przyjedzie z matką i synkiem do Polski.

Podróż powrotną mieli z przesiadką w Kijowie, gdzie osiem godzin czekali pociąg do Warszawy. Przeżyli szok, gdy na kijowskim peronie zobaczyli kilka telewizorów stojących bezpiecznie, jakby porzuconych. Polacy, którzy je kupili większe niż szerokość drzwi wagonu musieli je z bólem serca i rozpaczą pozostawić na peronie.

Anna z Januszem ochłonęli dopiero, gdy ich telewizor znalazł się w pociągu. Musieli jednak wyjąć go z torby, którą uszyła Olga, i dopiero wtedy co do centymetra zmieścił się w drzwiach. Jednak korytarz był jeszcze wąszy.

Przez całą podróż musieli pilnować, by nie zmienił właściciela, aby ktoś, kto w desperacji musiał zostawić swój na peronie, nie wmówił im, że to jego własność.

Wrócili szczęśliwi i wnieśli do mieszkania wymarzony nowy telewizor kolorowy...

Zofia Kamola

nić Porozumienia

Chcesz moją nić?
Nie!
Tezeuszu –
chcę ci pomóc.
Po co?

Zbłądzisz w labiryncie.
Nie ma mowy!
Ariadna –
martwi się
o Ciebie.

O, Minotaurze!

Rwę włosy z głowy
i w kłębek
zwijam!
Jak uratować
straceńca?

co wcale
mnie nie broni

Sfumato na ulicy

senne rano
wylazło na ulicę
ziewa
mruczy
chlipie cicho
z bólu nocy
co odarła z łez –
przydymiony przybysz
świtu
włóczy owal twarzy
aż gęstnieje w cieniu

lekko zamazanego
konturu ciała
mgły

jak dobrze
że mój Leonardo
już czeka
na palecie
...dla
mojego światłocienia

W lesie

jak drzewa
wrosłe w polanę
przyssali się ludzie
naszej epoki –
lodowiec już spłynął
lecz zamarzł chłód
co zmroził dusze
ociekłe życiem na teraz

w lesie
wciąż strach i pomruk
wilka z ukrycia
co dyszy żeru –
sfora wciąż goni
za czleczkami
cywila w mundurze
ocalonego w historii

Psalm dla muzyki

Z tobą przyszłam na świat
ktoś mi cię dał na zawsze
w duszy i w sercu mi grasz
unosząc na skrzydłach życia.
Z tobą jak dziecko odkryta
śpiewałam rodzinie od święta
dziewczęco radośnie dla życzeń

na chwałę marzeń i sławy.
Z tobą przetrwałam bilans
swych zysków i strat
kołysząc do snu swe nuty
na walczyk już niezagrany.
Z tobą układam rytmicznie
swe takty w metrum istnienia
miarowo lirycznie poukładane
na pięciolinii piosenki
...już nijak muzycznie nieoszukane.

Walentyna Karwowska

Zryw

Czy mały powstaniec chciał w to grać?
Czy mały powstaniec znał zasady twojej gry?
Nie! Nikt nie uwierzy ci!
Zrobiłeś z Niego Małego – Dużego Bohatera
Cholera
Byłeś sam – mogłeś bawić się sam
Teraz mówisz, że to był zryw
A ty, Malemu, nie dałeś żyć!
Cholera
Teraz każesz czcić tę przerwana NIĆ
Cholera
 Pozwoliłeś malemu dziecku bawić się bronią
 Pozwoliłeś malemu dziecku bohaterem się stać!
 Nie zająłeś się Jego ochroną
 Odebrałeś Mu miłość swoją
 Małe dzieci lubią zabawę
 One bawiąc się w twoją wojnę
 Skazane na przegraną
 Mierzyły się z twoim wrogiem
 Dzisiaj...
Mógł żyć nasz Mały
Mógł z nami być
Do dziś
Żal, że pękła nić
Może kiedyś..., ktoś...
Zauważy błąd – i co!
Wyrzut sumienia, pomniki
To mało za błąd!
 Więdnie róża i mak
 Trawa się czerwieni
 Za błąd!
Smutno przy pomniku
Salwy tego nie zagłuszą
Orkiestra nie podniesie

Demografia

Rodził się świat
Bez murów i krat
Bez ścian
Mimo wad
Rodził się śmiech
Otwierał serca – bez kas
Było tak
Bez zakazów i kar
Rodził się, jak chciał

Było dużo nas

Dziś okno życia
Smutny znak
Żal, że to nie żart
Strach!

Mniej nas, mniej nas

Rytm

Niewidzialnym pędzlem maluje świat
Silnymi mięśniami podnosi chmury
Tonie w morzach, kryje się w chmurach
Krokami wschodów i zachodów wybija rytm
By w malowanym świecie nie mylił się nikt

Beata Ewa Komarnicka

Krawcowe

Były sobie dwie krawcowe,
Miały dwie maszyny nowe,
Dwa krzeselka, dwa stoliki,
Dwa naparstki, dwa guziki...
No... Guzików jednak więcej.

Miały po dwie zdolne ręce,
Miały haftki i szpileczki,
I suwaki, i sznureczki,
Także rzepy i tasiemki,
I igielki z końcem cienkim.

Te krawcowe przez dzień cały,
Bardzo ciężko pracowały:
Coś uszyły, coś skroily,
Poszerzyły lub zwężyły,
Tam popruly, tu doszyły...
A maszyny z dźwiękiem miłym
TUR, TUR, TUR ciągle robiły.

A klientów dużo miały,
Drzwi się wprost nie zamykały.

Nic dziwnego, że bez siły
Nasze dwie krawcowe były.
A gdy szyły, szyły, szyły,
To nie jadły i nie piły,
Bo im czasu brakowało,
Ciągle miały go za mało,
Aż chudziutkie tak się stały,
Że jak szpilki wyglądały.

Aż któregoś dnia o świcie,
Gdy w pracowni wstało życie,
Przy maszynach dwóch usiadły
Na krzeselkach swych i... zbladły,
Bo maszyny piękne, nowe,
Sprawne, zgrabne, kolorowe,

Nie za głośne, z dźwiękiem miłym,
Te co TUR, TUR, TUR robiły,
I się wcale nie męczyły,
Zawsze grzecznie, równo szyły,
Szybko, średnio i powoli,
Te maszyny doskonałe,
Ze światełkiem małym białym,
Tego ranka...NIE DZIAŁAŁY!
Obie naraz! Niesłychane!
Jakże to niespodziewane!

Lecz krawcowe szybko wstały,
Korki, kable posprawdzały,
Coś włączyły, coś wyjęły,
Lecz maszyny ani drgnęły.

Więc się szybko naradziły,
Mądrze wraz postanowiły:
„Z sytuacji tej wynika,
Trzeba wezwać mechanika”

Nie minęła i godzina
A mechanik przy maszynach.
I ogląda, i przegląda,
I podgląda, i zagląda,
W końcu mówi: „Mile panie,
Idźcie sobie na śniadanie,
Bo mi zejdzie z dwie godziny,
Nim naprawię te maszyny”.

Więc krawcowe z ociąganiem,
Poszły jednak na śniadanie.

Gdy już sobie zamówiły
To, co najbardziej lubiły,
Czyli: jajka ze szczypiorkiem,
Bułki z szynką, z pomidorkiem,
Oraz kawę z pyszną pianką
I szarlotkę ze śmietanką,
I gdy jadły z apetytem,
Rozmawiając miło przy tym,
To te same myśli miały,

Razem je wypowiedziały:

„Dobrze jest być pracowitym,
Lecz rozsądnym także przy tym,
Każdy dzień z samego ranka
Trzeba zacząć od śniadanka”

I gdy do siebie wróciły,
Jeszcze szybciej wszystko szyły.
A maszyny z dźwiękiem miłym
Znowu TUR, TUR, TUR robiły.

Ala i Tosia

Ala z Tosią, śliczne obie,
Przyjaciółki co się zowie,
Jak papużki nierozłączki,
Wszędzie razem i za rączki,
(Tylko tak zawsze chodziły),
Nigdy też się nie kłóciły,
Kiedys przed wystawą stały
I sukienki oglądały.

Ala nagle w zachwyt wpadła,
Tosia także ciut pobladła,
Bo sukienka, jak marzenie,
Była właśnie po przecenie.

Ala z Tosią, tak podobne
I figury ich nadobne,
Ten sam rozmiar wciąż nosiły,
Więc po suknię popędziły.

Równocześnie ją dopadły.
Jednej aż policzki zbladły,
Drugiej stały się czerwone,
Każda ciągnie w swoją stronę.

Suknia, jak z balowej sali,
Więc z jedwabiu a nie stali,
Nagle głośno TRACH zrobiła.

I tak przyjaźń się skończyła.

Gdy się kiedyś znów spotkały.
To się prawie nie poznały.
Jedna chudsza się zrobiła
Druga znowuż ciut przytyła.
Teraz obie te panienki
Noszą inne już sukienki,
Już się różnią ich figury.
Zniknął powód awantury.

Dawna przyjaźń powróciła.
Tak historia się skończyła.

Kura

Była raz kura, białe trzy pióra
W ogonku miała brązowym,
Czubek czerwony, a dzióbek żółty,
Mieszkała w kurniku nowym.

Zawsze najlepsze ziarenka jadła,
Więc piórka lśniły wspaniale,
A grzędę miała ciepłą, bezpieczną,
Lecz nie lubiła jej wcale.

Więc kokosiła się i mościła
I ciągle wyżej siadała
I tyle szumu przy tym robiła,
Bo strasznie głośno gdakała:

– Ko, ko, na grzędę dziś wyżej siadę,
Tu jest zbyt nisko już dla mnie.
Ja taka śliczna, mądra, wspaniała.
Biegnę! Bo ktoś mi ją zajmie!

I na sam szczyt, tuż pod dach wlaźła,
Zadowolona usiadła,
Lecz niebezpiecznie tam bardzo było,
Szybko na dół z hukiem spadła.

Wszystkie kokoszki do niej zleciały,
Zbyt późno jednak ich rada:
– Na swojej grzędzie powinnaś zostać,
Ze szczytu łatwiej się spada.

Ząbek

Był sobie ząb, twardy jak dąb,
Który się dyndał, jak wielki dzwon,

W buzi wygrywał piosenkę swą,
A ona brzmiała: „bim, bam, bom”.

Małej dziewczynki ten ząbek był,
A ona strasznie, z całych swych sił

Bardzo się bała usunąć go,
Więc tak mówiła: „Droga mamo,

W piątek go wyrwę, w ten co będzie,
Bo tak się spieszę zawsze, wszędzie,

W piątek wieczorem mam więcej czasu,
Więc już nie róbmy o to hałasu,

Do piątku trzeba czekać i już”.
I przyszedł piątek. A ząbek? Cóż,

Jak sobie siedział, tak dalej siedzi.
Dziwi się mama, dziwią sąsiedzi...

I tylko dynda się mocniej jeszcze,
Czy go ktoś kiedyś usunie wreszcie?

Następny piątek też szybko minął,
No a dziewczynka z niewinną miną

Już o kolejnym coś mamie mówi,
Lecz chyba ząbek za bardzo lubi.

A ząbek ciągle: „bim, bam, bom”,

W buzi wygrywa piosnkę swą.

Lecz raz zagląda w gębusię mama,
A tam doprawdy ogromna zmiana,

Bo pod tym ząbkiem drugi już jest,
Jeszcze mocniejszy, twardy, że fest.

Szybko wyleciał ząbek: „bim, bam”,
Jak to się stało? Kto powie nam?

Bo go ten nowy kopnął co sił
I oczywiście piątek to był.

Beata Ewa Komarnicka

Eureka

Dawno już wszystko zapisano
W grubych tomach
Sięgających obłoków

Poukładano logicznie tematami
W bibliotece wiedzy

Dumny z siebie człowiek
Krzyczy Eureka
Gdy pojął jedno zdanie
Z wielotomowej książki fizyki

Imię jego sławić
Będą wieki

Bóg się uśmiecha
Patrząc na swoje dziecko

Jak ojciec na syna
Stawiającego pierwsze
Kroki

Kocham

Mają motyle w brzuchu
Gdy myślą o kochaniu.
Moje motyle budzą się
Na pierwszy w roku
Podmuch ciepłego wiatru.
Kocham wtedy wszystkich.

Nawet gołą dżdżownicę
Na chodniku po deszczu.

Tylko że kocham platonicznie,
Bez dotykania kocham.

Lipowy zapach wieczoru

Lipowy zapach wieczoru
Mocno rumiane niebo
Wdzięczy się sosna
W sukni z bluszczu
Od ziemi aż po szyć
Chrabąszcz
Którego już nikt nie łapie
Do pudełka po zapalkach
Żeby grał Jazdę Walkirii
Kompot z robaczkiem
Który nie zdążył uciec

Ulica
Na której znaliśmy
Wszystkie samochody
I nikt nikogo się nie bał
A do domu wystarczyło
Wrócić przed nocą
Wojna na niby
Gdzie wskrzeszenia
Następowały po minucie
Wyścig pokoju
Gdzie każdy miał
Żółtą koszulkę

Tamtego już nie ma
Lipowy zapach wieczoru
Został

Na mym oddechu

Na mym oddechu
Usiadł smutek

Wszystko oblepił
Chmurą bez koloru

Siedział okrakiem
Rozglądał się

Pelen pychy
Zasłonił widok
Na cokolwiek

Nie wiem skąd przyszedł
Nie wiem czemu rządzi
Nie wiem jak się bronić

Przybiegło dziecko

Ciepłym pocałunkiem
Zdmuchnęło go
Z łatwością

Postanowienie

Przestaną się starać
A zaczną żyć.
Odkopię marzenia
Ukryte głęboko w szufladzie
Z bielizną
Zbyt śmiałą
Nigdy nie zakładaną.

Od jutra.

Zegarki

Zegarki cykające w polu
Wypełniają mrok
Głośniejsze wdzierają się
Między cichsze
Szybsze między wolniejsze
Na wyścigi

Żaba zawsze wybiera
Najszybsze i najgłośniejsze

Reszta Nie cichnie,
nie zwalnia

Maria Kościuszko

Stary człowiek i pożółkłe książki

o czym myśli
przeglądając stare podręczniki
chudy starzec z resztką siwych włosów
na skroniach

o tamtym chłopaku
który mógł być einsteinem ale nie zdążył
bo osiągnął go złoty strzał w szkolnej szatni
czy o dziewczynie co zamierzała
być skłodowską
póki nie urodziła dziecka które umarło
a ona nie wiedziała już kim jest

czy mógł ich uratować?
tylko uczył a tylu ich było
pracowitych i leniwych
zdolnych ale obojętnych
na światło wiedzy

mieli go za dziwaka
jeden przysłał kiedyś zdjęcie
widzi pan to ja pan się przyjrzy
pan wciąż przy tym starym biurku
a za mną zielona wyspa

starzec zastyga w swojej bezradności
drżącą ręką odkłada książkę
powoli
każdy ruch to brak powietrza i strach
że to już ostatni oddech

też kiedyś chciał zdobywać szczyty
teraz przejście z pokoju do kuchni
jest jak wejście na Kilimandżaro

wypija łyk wystygłej herbaty
jest sam

wokół tylko cienie
nikt już nie zapyta o nic mają wikipedię
nie przyszyje urwanego guzika

bledną kontury wspomnień
ten co został w końcu profesorem
nigdy się nie odezwał

żona dawno odeszła schował zdjęcie
głęboko w szufladzie
prawie jej nie pamięta

zostały książki

2011/15

Była kiedyś nauczycielką

mieszka gdzieś obok
często ją widuję

mała coraz mniejsza
z siwą głową coraz bliżej ziemi
powoli kuszyka kolebie się
laska – przyjaciółka zapomniała ucześcić się ręki

głodne oczy bezdomnego psa
zatrzymują mnie w biegu
łapie za rękaw i już nie puści po raz kolejny
usłyszę tę samą opowieść

wie pani
wiem

znowu nie zdążę na autobus
wyrwać się? rękaw zostanie w jej rękach

chce pani
powiem pani wiersz
tatuś mnie nauczył pani posłucha
zatrzymuje się jakby stała na scenie

a przed nią pełna widownia
albo gromadka dzieci

tymczasem tylko ja
zagryzam wargi patrząc
na znikający autobus
i słucham

jutro – przyrzekam sobie –
pójdę inną drogą

tylko te jej oczy
poniesie ze sobą mój ocalony rękaw

2010

List do pana F.

miałam szczęście że pana poznałam
pan mnie rozumiał lepiej niż ktokolwiek inny
nawet ja sama

dostrzegał pan kiedy jest mi źle
ratował z opresji i młodzieńczych smutków

mimochodem rzucony żart rozpędzał chmury
uśmiech w kąciu ust i ten młodzieńczy błysk w oku
zmieniały świat

niepojęte
wojna i lata sybiru nie zgasiły w panu tego
ciepłego światelka które grzało innych
zabrały tylko zdrowie a pan się nie skarżył

widział pan może we mnie swoją wnuczkę
której nie dał los nie wiem
czekał pan na mój list

naprawdę chciałam go napisać
miał być długi i serdeczny
odłożyłam pióro tylko na chwilę

tyle spraw uniwersytet akademik nowe życie
a pan czekał wciąż pytał
mówiono mi wiem

nie zauważyłam że mijają dni
aż zrobiło się
za późno

teraz ciągle go piszę
powtarzam na sto sposobów
wrytą w pamięci wdzięczność
na próżno

2009

Miejsce

to było tu
gwar dziecięcych głosów pospolu z ptakami
przecinał zieloną ciszę
biel fartuchów przyjazna
koila smutki i tęsknotę

było sanatorium i mali pacjenci
moje miejsce którego już nie ma

gdzie są teraz te brązowo-białe
drewniane pawilony co stały w ordynku?
odeszły do swojego nieba
nie został nawet ślad
zbladła pamięć o Szwedach
co przynieśli je w darze by leczyć skutki wojny
są tylko rozpasane zielone chaszczce
(przyroda nie znosi pustki)

ulica Borowa 6/12
nazwy i numery się zmieniały
a zadany choć niechciany patron przetrwał
wszystko

spotykając się na ulicach miasta

„my z Marchlewskiego” mówimy sobie
kiedy sanatorium już zamknięto
i uśmiechamy się na wspomnienie
lekarz salowa nauczyciele pielęgniarki
wszyscy równi wobec historii

dziś osacza mnie tu nieznajoma zieleni
i obca przestrzeń
wszystko się zmienia
wczoraj w poszumie sosen
jutro w tunelach ulic
inaczej załamie się światło

tylko w mojej pamięci nadal
tamte liliowieją wrzosa
i prężą się znajome jałowce

2013

Anna Krzewska

czekanie

przysiadłam pośród innych kobiet
tylko brzydziej *gdylbym*
nie ściszyła głosu osunęłyby się
pośpiesznie za horyzont
jak księżyc w pełni

wybiła pierwsza kwadra *jedyna*
miałam powód by zejść do sutereny
obejrzyć lodówkę od środka

czy tam zmieści się
dziecko *czułam*

niesłuszne obawy

nie patrz tam

nie odwrócił wzroku
patrzył przez pokój na wyłączony telewizor
jakby rozważał możliwość zapłonięcia
gdy parzy rozpalona ziemia
zamiast się wzbijać w powietrze
i czekać

to musiało mieć coś wspólnego z urodą świata
dlaczego deszcz jednakowo pada na pustynię
nasyca trawę która przekwita

nie pytał umiał sam Boga zachwycić
zwyczajnym krokiem żadnym pas de basque
pas de ciseaux tylko najzwyczajniejszym
choćby każdy przybliżał wyznaczone miejsce

na górze Moria
odłożył syna niedostrzeżony przez anioła

co powie żonie
że deszcz

frenetycznie zuchwale

zuchwałości udziela
nawet włosom rozrzuconym na poduszce
choć wciąż pachnie jak niemowlę
życiorys zaczyna – *urodziłam się żywa*
czego nie pomieści w głowie
zapisuje w zeszycie w linie papilarne

że odumarłam ją w najgorszym czasie
pomimo że pachniała jeszcze pełnią
podskórne epifanie wzbierały unosiły ją
frenetycznie pociągała klamkę
szła szukać matki

myślałam że to wybaczone
umrzeć

jestem

nawet nocą
nie znikam skulona w szafie

miętko zamykam oczy
dzieci
powtarzam sobie – każde ważniejsze niż
wiele wróbli

potem śni mi się
jak zamieniasz je w skałę
lub przemielone zębami dzikich zwierząt
w chleb

pozwalasz mi leżeć
wzrokiem przeszywać powietrze
dopóki kreska draży granice
parzyć kawę o świetle

Ze zbioru „Piotrus”

Ewa Kubiak-Kokoszka

* * *

Pędzimy leśnym duktem
słońce topi śnieg
a nagie drzewa uginają ręce
ciężkie od szronu

pędzimy otwartą przestrzenią
bez oddechu

przed nami horyzont
trwa i trwa

nie mogę go przekroczyć
ciągle ucieka

co jest za tą struną
napiętą do granic

* * *

Wymarzony wchodzi w mój sen
złoty ptak szalonej nocy
otulę go splotem gorącym

To nic, że go brak
w przyplywie uczuć czuję jego oddech

błysk rozkoszy przeszywa mnie
jak taniec węża
jak dotyk
jak zapach perfum

Krytyk i poetka

Biały, nieuczesany wiersz
jego obrazy jak puzzle się rozsypują

po cięciach które bolą

później łączą się we mnie
rozjaśniają ciemność
Jak iskrzący biały całun

o świcie kiedy jeszcze śpią samochody
wiersz oddycha
jak ptak przelatuje nad ulicami
żyje poza mną

cięć i szwów już nie widać

Anna Kulesz

Świdermajery wiosną

Młode pędy liści
nabrzmiałe rosą
jak węże lśniące
w drewnianej mozaice
budzą z zimowego snu
otwockie świdermajery

Powraca wspomnienie
dawnej ich świetności
kiedy patrzyły na świat
przez koronkowe firany
a rzeźbione werandy
zapraszały do wejścia

Stoją teraz samotnie
odziane w odrapane
z farby zapomnienie
pochylone ku ziemi
kryją się przed chwilą
gdy strawi je kolejny pożar

Rozmowy przy kawie

Nad ciemnym lustrem
aromatycznego napoju
słowa ciepłe jak puch łabędzi
unoszą nas
nad grejpfrutową gorycz codzienności

Wplatają się w srebrzyste myśli
jak barwne motyle
pośród kłosów zboża
by zniknąć niepostrzeżenie
z ostatnim łykiem kawy

Weranda pełna wspomnień

Ażurowa weranda
zastygła w winorośli
jak zamek opuszczony
w słowiańskich legendach

do niej przyklejone
drewniane schodki
na których bose stopy
małej dziewczynki
odmierzały upływający czas

Tu dokonywały się
narodziny lalek
utkanych z dziecięcych fantazji
i kwiatowych płatków

tu rzeczywistość
zmieniała się w teatr

Dzisiaj pozostała tylko
koślawka ławka
i złamana deska w progu
ale miejsce jeszcze
ciągle pachnie
pomarańczowymi nasturcjami
choć świdermajery odchodzą
jak starzy ludzie
jak zapomniane bajki...

Z cyklu SNY

W atramentowej głębi
zatrząskuję powieki jak bursztynowe wieko skrzyni
pełnej skarbów minionego dnia
Morfeusz zaprasza do wędrówki w podświadomość
przywołując postacie z przeszłości

obrazy przenikają się i nakładają

w mlecznej nieostrości
jak na obrazach Chagalla
tworząc nierealne kształty
ekspresyjną zielenią i czerwienią podsycane

słyszać urywane rozmowy, śmiech, szepty...
twarze przybliżają się i oddalają
by po chwili zniknąć w zawirowanej przestrzeni
która szarpie mnie i huczy w uszach
jak dzwony złotogłowej cerkwi

otwieram oczy... świta.

Spacer po lesie

Otulona zapachem żywicznego zamyślenia
jak hinduska księżniczka w muslinowym sari
wchodzę w zieloność ciszy
mchem i wrzosem utkaną

Złociste promienie niby miecz samuraja
rozcinają leśną gęstwinę jasnymi ścieżkami

i pozwalają wnikać myślom
w kojący aksamit przyrody

Krąży w malachitowym rozprężeniu wśród paproci
jak rozedrgane ważki nad lustrem jeziora
by w nowej formie
powrócić w moje zadumanie

Dzień Kota

Dziwne święta zawsze wprawiały mnie w zdumienie, a więc również obchodzony od niedawna Światowy Dzień Kota. Pewnie od nienormalności wokół wszyscy kota dostajemy.

Mimo że Dzień Kobiet niezmiennie kojarzy mi się z rajstopami, goździkiem i podpisem na liście (skaza, którą nosi moje pokolenie), takie podkreślenie ważności kobiet ma podstawy i zdecydowanie wolę podążać tą drogą, niżli kocią.

Dlaczego porównuję akurat te dwa święta, dlaczego kobiety kojarzą mi się z kotami? Chyba dlatego, że kobiety miewają kocie oczy, kocie ruchy albo pokazują ostre kocie pazury. Już w starożytnym Egipcie koty otaczano czcią boską. Boginię miłości i płodności – Bastet, przedstawiano jako kotkę lub kobietę z kocią głową. Podobną mamy zmysłowość, wdzięk, łagodność, ale bywamy też jak koty podstępne i zdradzieckie.

Święto, które obchodzimy ósmego marca, ma wiele plusów w przeciwieństwie do tego kociego, obchodzonego w lutym. Choćby ten, że kobiety w tym dniu zdecydowanie łagodnieją. Stają się delikatne, ciepłe, prawie mruczą i najchętniej posiedziałyby u kogoś na kolanach, dając się zagłaskać w ten jeden wyjątkowy dzień. Łagodnieją też teściowe i rejestratorki w przychodniach, przybierając ludzki wyraz twarzy.

To taka niby Wigilia, kiedy wszystkie mówią ludzkim głosem i nawet się uśmiechają. Niektóre tak, jakby trzymały w ustach plasterek cytryny, ale liczą się dobre chęci.

Panowie też starają się być radośni, choć do szczęścia im daleko, bo nie ma tu zbieżności interesów. Zamiast siedzieć jak zwykle w ciepłym fotelu przed telewizorem z piwem, muszą odstać swoje w kolejce po kwiaty i o zgrozo naruszyć ciulane potajemnie zaskórniaki.

Generalnie jednak jest miło i kolorowo. Wszędzie kwiaty i wszyscy starają się być tego dnia uprzejmi, a panie, uśmiechając się, rozsyłają kocie spojrzenia nawet tym, z którymi na co dzień drą koty, bo kierując się zwykle swoimi prawami, chodzą jak koty własnymi ścieżkami i nie uznają kompromisów.

Taką niezależność demonstrował kotek w bajce, którą pamiętam z dzieciństwa. Przychodził, kiedy chciał, nie patrzył na to, że babcia ma emeryturę tyle co kot napłakał i bezceremonialnie wypijał mleczko, strącając przy okazji ogonkiem być może ostatnie jej jajko.

Pewnie czynił tak z zemsty za to, że często odwracamy kota ogonem, pochwytując od wielkiej polityki, a na relacjach rodzinnych skończywszy, kiedy to mąż przylapany na porannym powrocie do domu usiłuje wmówić żonie,

że właśnie wychodzi do pracy. Takie drobne kłamstwo z obawy, że mu kota pogonić może.

Kot ma też sporo powodów, żeby czuć się źle i głupio, bo kiedy przebiega sobie radośnie drogę tuż przed nami, to obwiniamy go, że robi to umyślnie, żeby przynieść nam pecha. Analogia do Bogu ducha winnej zakonniczki, której spotkanie też przyjmujemy za złą wróżbę.

Reasumując, to niewykluczone, że nie mam jednak racji, kwestionując istnienie Dnia Kota, bo skoro obarczamy koty naszymi niepowodzeniami, winimy za kłótniowość, a nawet za stan po obficie zakrapianej kolacji zwany kociokwikiem, to takie święto może słusznie im się należeć. Tym bardziej że coraz częściej są nam wsparciem, kiedy swoje związki partnerskie opieramy na kociej łapie.

W swoich rozmyślaniach wyszukałam sporo podobieństw między kobietą a kotem, ale Ernest Hemingway znalazł istotną różnicę twierdząc, że „Kotom bez trudu udaje się to, co nie jest dane człowiekowi: iść przez życie nie czyniąc hałasu”.

Mój mąż mówi, że kobieta to też człowiek. No i znowu będziemy darli koty...

Halloween – nie obchodzę

Nie obchodzę i do dzisiaj to święto było absolutnie poza moimi zainteresowaniami. Ale kilka dni temu dzieci w żłobku dostały jako pracę domową zakupić dynię, wydrążyć ją i przygotować do wspólnej zabawy na Halloween.

Kiedy wcześniej kupowałam ziemniaki na święto kartofla, czerwoną kapustę na surówkę, mąkę na ciasto, czy kopertę i znaczek, cieszyło mnie, że maluch wszechstronnie się rozwija i poznaje świat, ale przy dyni zapaliła się czerwona lampka, która nie dawała mi spokoju. Mrugała zagadkowo już wtedy, kiedy robiłam zupę dyniową z wydłubanego mięszu bogatego w witaminy i minerały, i mrugała, kiedy patrzyłam na rzeźbę potem z niej wykonaną, dla naszej wnuś.

Dlaczego akurat dynia jest symbolem Halloween? Co sprawia, że właśnie ją wybrano? – zastanawiałam się.

Atmosfera stawiała się napięta. Dynia wyczuwała, że jej nie ufam i starała się zaskarbić moją sympatię płomiennym uśmiechem podsycanym przez wstawiony do wewnątrz zniczek. Jednak kiedy siadałam do komputera, oczy jej straciły blask i poczuła się niepewnie. Wiedziała, że mimo wielu pozytywnych opinii w sieci, mogę znaleźć taką, która odkryje jej prawdziwe oblicze, co odbije się niekorzystnie na naszych relacjach.

I nie była daleka od prawdy, bowiem trafiłam na wpis na stronie <http://www.ceszke.pl/>, który odarł ją z tajemnicy.

Jedno zdanie przeczytałam półgłosem, tak żeby słyszała: „W starożytności wydrążona i podświetlona dynia, umieszczona na domu, wskazywała, że jego mieszkańcy czczą szatana i należą im się względy demonów”.

Wyraźnie zabolalo ją to, że poznałam prawdę. Przez chwilę syczała, a potem jej wewnętrzne światło zgasło. Tylko z ust nie schodził uśmiech, jakby była świadoma, że mimo wszystko w moim jadłospisie pozostanie na zawsze.

Sebastian Liberadzki

Nic więcej

Promienie słońca odbijały się od ciemnej karoserii starego Freightlinera, który właśnie wyjechał zza zakrętu. Głęboki i ciężki ryk silnika wzbijał się w powietrze i obtłukiwał po drzewach; ciężarówka pędziła teraz prostą drogą, położoną, jak się zdawało, w sercu jednego z niezmiernych i dzikich kanadyjskich lasów.

Aurelia szła tym asfaltem od dwóch godzin bez przerwy. Zmęczona, spragniona i o przybrudzonej twarzy aż podskoczyła z podekscytowania, kiedy do jej uszu dobiegł tak wyczekiwany i upragniony warkot. Stała w miejscu i zaczęła wymachiwać ręką na różne strony, mimo że Freightliner był jeszcze daleko. Dziewczyna nie wiedziała, czy male serce trzęsło całym jej drobnym ciałem ze zmęczenia, czy z uradowania na widok ciężarówki. Liczyła w duchu, że kierowca ulituje się nad nią; wciśnie hamulec i się zatrzyma, a ona będzie mogła nieco odpocząć i nie tracić przy tym czasu.

Człowiek mógł odnieść wrażenie, że znalazł się w potrzasku; z bezchmurnego nieba lał się męczący żar, z lasu o wysokich drzewach biło nieznośne gorąco, a asfalt niemalże topił się pod nogami. Nie było mowy o wietrze, który jako jedyny potrafiłby przynieść chociażby krótką chwilę ukojenia.

Ciężarówka jak gdyby na życzenie, niby zauroczona mizerną podróżniczką, zatrzymała się dobre kilkadziesiąt kroków przed nią. Aurelia pokonała je biegiem, kierowca nie musiał długo czekać.

Zdjęła z pleców dużą, niekiedy przeważającą to drobnutkie ciało torbę, i oparła ją o koła Freightlinera, którego chodzący silnik sprawiał, że wokół było jeszcze goręcej. Wspięła się na schodek i sięgnęła po klamkę. Wszystko odbywało się w jednym tempie; nie pierwszy raz zajmowała się sztuką auto-stopu.

Nie zdążyła dotknąć drzwi. Otworzyły się w taki sposób, że nieomal nie straciła równowagi. Szybko zeskokczyła ze schodka. Z kabiny buchnęło nieco chłodniejsze powietrze. Przed oczami dziewczyna miała teraz młodego kierowcę o zlepionej w niektórych miejscach i przysłaniającej czoło grzywce, który – jak jej się zdawało – był niewiele starszy od niej i nie pachniał niczym. Nie miał na sobie koszulki, ta wydała mu się bezużyteczna przy wszechobecnej spiekocie.

– Co ty robisz, dziewczyno? – zapytał głośno, by przebić się przez ciężki dźwięk silnika, i wyszedł z kabiny.

– Jedzie pan w kierunku Swan Hills?

– Na czterdziestce odbijam zaraz w prawo – powiedział i przeciągnął się leniwie, rozprostowując zmęczone jazdą kości.

– Może być.

– To wskakuj – rzekł i sięgnął po torbę Aurelii, a dziewczyna wparowała do kabiny ciężarówki.

Mężczyzna wszedł od strony kierowcy, położył torbę na siedzeniu między nimi, przerzucił bieg i ruszyli wolno, ociężale i jak gdyby ospale. Stary Freightliner dyszał okropnie, charczał co jakiś czas, ale upornie nabierał rozpędu. Chwilę później jechali już dosyć szybko, a przez otwarte okna wpadał i wylatywał nieobecny wcześniej wietrzyk, przez krótki moment oblepiający im ciała.

– Gdzie jedziesz? – zapytał mężczyzna.

– Nie mam celu. Gdzie los poniesie.

– To czym ty się zajmujesz?

– Można powiedzieć, że jestem poszukiwaczką.

– Złota?

– Życia.

Umilkł. Po tych słowach przestali się odzywać, nie silili się ani na uprzejmości, ani na sztuczne podtrzymywanie rozmowy. Trwająca cisza, którą zakłócał tylko donośny hurkot spracowanej ciężarówki, nie była niezręczna. Przeciwnie, znajdowało się w niej wiele spokoju, harmonii i jak gdyby odpoczynku. Dziwiło to Aurelię. Dziwiło ją to, że tak mogło wyglądać milczenie między zupełnie obcymi sobie ludźmi. Wpatrując się w uciekający jej oczom las, stwierdziła w duchu, że człowieka właśnie poznaje się po ciszy.

Długo przejeżdżali przez ten las; co kilkanaście kilometrów zdawało im się, że stary Freightliner lada moment wyzionie ducha, ale posłuszny był nogom i rękom kierowcy przez cały czas. Późnym popołudniem robiło się już chłodniej, równie zmęczone jak oni słońce szykowało się powoli do snu, a niebo traciło swój błękit.

– Z czterdziestego drugiego – powiedział, kiedy droga poprowadziła ich z lasu na bardziej otwarty teren, gęsto posiany pagórkami i wyższymi wzgórzami.

– Słucham?

– Z czterdziestego drugiego ta bryka.

– Ładna.

– Widzisz – rzekł po chwili. – Dla kobiet wóz zawsze musi być ładny. Nie ma znaczenia, ile może pociągnąć za sobą, ile i czy w ogóle ma dobre konie pod blachą, czy cholerne opony pozwolą mu przejechać tyle, ile chce. To nie ma dla was wszystkich znaczenia. Wóz musi być czerwony, niebieski, zielony. Tak, by się wam podobało. Nic więcej.

Aurelia zgodziła się milcząco; ograniczona znikomą wiedzą na temat samochodów nie protestowała i nie mogła zrobić nic ponadto. Znowu wlepiała

wzrok w uciekający za szybą krajobraz, co jakiś czas badawczo zerkala tylko na mężczyznę.

Zatracał się za kierownicą. Jego ciało znajdowało się w jednym rytmie i współpracowało ze sobą, był najdoskonalszą częścią zmęczonego silnika starego Freightlinera, który pod nogami mężczyzny wydawał z siebie głęboki warkot.

Wieczorem, kiedy znaleźli się na czterdziestce, wjechali na szutrowy plac przy skromnym zajeździe dla ciężarówek. Przez krótką chwilę mieli tam odpocząć; zamówić coś do picia, zjeść, a potem ruszyć w drogę.

Mężczyzna sprawnie zaparkował przy dwóch innych dużych furgonach, po czym powiedział Aurelii, żeby poczekała na niego w kabinie, a sam poszedł do zajazdu, w którym siedziało kilku innych kierowców. Spojrzał na nich; przesiadywali przy jednym stoliku, mieli na sobie obdarte i sprane ubrania, przy uśmiechach obnażali zepsute zęby, a ich ciężkie i niezdolne głosy zalegały na uszach, i dopiero wtedy dotarło do niego, jak bardzo cieszył się z tej dziewczyny, była przecież wytęsknionym powiewem świeżości i lekkości.

Gdy wrócił do ciężarówki, nikogo nie zastał w kabinie. Nie znalazł w niej żadnej rzeczy Aurelii, ani nawet żadnej karteczki, na której dziewczyna mogła zostawić kilka słów.

Szukał jej jeszcze długo po parkingu; wokół wirował gęsty kurz spod opon manewrujących ciężarówek, a on, widząc to wszystko, rozumiał, że dziewczyna nie znalazła przy nim życia.

Renata Lipińska-Kondratowicz

Stare domy

Stare domy jęczą po nocach,
że bołą je nogi od stania,
ramiona okien im się pokrzywiły,
pokruszyły się zęby ozdobnych balkonów.

Stare domy straszą po nocach,
krzykiem dawnych lokatorów,
płaczem dzieci, których już nie ma,
i starych wdów lkających w poduszki.

Nowe domy jak młode panny
wabią pięknem ciała, różem policzków.
Błyskiem czystych okien
obiecują szczęście i miłość.

Wystarczy jednak parę miesięcy,
aby obok bólu borowanych ścian,
gdy na gwoździach zawisną nowe obrazy,
zagnieździły się nowe – stare historie.

Moment w autobusie

Do autobusu wszedł młody mężczyzna
przystojny, wysoki, chyba z dobrego domu.
Usiadł vis a vis.
Omiótł mnie pojrzeniem,
ale nie zobaczył nikogo.
Do uszu włożył słuchawki.
Przypadkiem zetknęły się nam kolana.
Przez moje przebiegł prąd,
więc je odsunęłam.
Wysiadł na następnym przystanku,
a ja stałam się kobietą przezroczystą.

Do Rafała W.

Dlaczego urodziłeś się poeto,
Trucizna twych wierszy
Poila obietnicą,
Że wystarczy wyskoczyć przez okno,
A będzie się latać, wysoko, tak lekko,
Bez ciężaru nawet brudu za paznokciem.
A ja musiałam kłaść potem
Czarną różę śmierci
Na piersi mojego kochanka.
I wam może już lekko.
Wasz ciężar
W mojej głowie i sercu.
Poeto, bądź przeklęty
I przeze mnie!

Warszawa, 1977 r.

Krystyna Łagowska

W kropelce rosy

Do życia, się tli w kropelce
Zorzy porannej świtu
Do przyszłych walk
Do przyszłej chwały
Do tych co wrócą i żyć tu będą
Dla tych co ciebie ukochali
Niech się zasklepi ruin rana
Powstań Warszawo niepokonana

Zaćmienie księżyca

W motyle złapany sieci
księżyc – obrazil się, nie świeci.
Na ziemi butla rozlanego atramentu
czarno.
Padają na siebie ludzie i tramwaje
zamęt się szerzy, nie ustaje.
Wypuśćmy księżyca z sieci.
Przeprośmy go, niech nadal świeci,
niech o księżycu piszą wiersze poeci,
niech będzie wszystko jak dawniej,
niech się jakoś kleci.
Niech przy księżycu
składają sobie przysięgi zakochani,
bo inaczej – to wszystko do bani.

Krzyżówka

Na kartce nierozwiązanej krzyżówki
napisany wiersz
Słowa wpadają jak do pustej beczki
toną w zagmatwaniu nienazwanych
niezrozumiałych pojęć i nazw.
Huczą jak nieujarzmione górskie potoki.
Nie można rozwiązać krzyżówki

Nie można odczytać wiersza
Niewiadoma – jak los
Jesień rozsnuwa nić melancholii babiego lata
Hasło krzyżówki rozwiązuje się samo...

Motyl

Na przydrożnej ścieżce strzęp barwistego
aksamitu, niewidzącymi opuszkami palców
dotykam skrzydelek – pożegnanie. Delikatnie
chowam motyla do dużego pudełka, były tam
zapalki na długich gruboskórnych patykach,
zapalano nimi świece na urodzinowym torcie,
na któreś lecie.

Nie chcę by tu był,
weźmy go stąd.

W głosie prośba, bunt.

Motyle *żują* w słońcu
na łąkach w Dolinie Rospudy,
budzą je graniem polne koniki,
a *usypiają* cykady.

Na zakurzonej szybie
gabloty muzealnej
dziewczynka pisze palcem
m o t y l – m ó j p i ę k n y.

Most porozumienia

Podane dłonie,
wsparcie,
uśmiech rozkwitający siedmiolistną barwą.
Z innymi ludźmi,
my głuchoniewidomi, idziemy razem
na spacer po tęczy.

Niewidzenie

Mrok nasycony czernią,
czerń nasiąknięta mrokiem.

W wyciągniętych dłoniach
nieuchwytność przelewa się wezbranym potokiem nieistnienia.
Pustka, zagubienie, samotność.
Tylko sprzęty są przyjazne, ożywają pod dotykiem ręki.
na szlakach nieskończoności gwiazd roje.
Uwierz!
Wiara nie jest ślepa.
Błyszczysz nadzieją zrozumienia.

Bieg za cieniem

Biegłam za cieniem-marzeniem, który mi umykał.
Po latach siadam zmęczona
na przydrożnym, milowym kamieniu. Otacza mnie mrok.
Mogę ci ofiarować
tylko uśmiech zrozumienia.

Wachlarzem snów

Gonię jutrzejszy dzień
wachlarzem zagubionych dni przeszłych opadłych jesiennych
niedokwitłych wiosen lata zakładam
okulary by zobaczyć ropuchę siedzącą pod liściem lopianu
zaklętych bajek dzieciństwa.
Układam życzenia świąteczne
puste bez wyrazu uśmiechu.
Podlewam iglaste kaktusy
kolczaste wartowniki niezgłębianej tajemnicy otwieram kalendarz
wysypanych kartek przespanych snów.

Ponad horyzont czasu

Unoszę się ponad horyzontem czasu,
ulatuje ponad chmur mgłami,
oglądam Ziemię pileczkę błękitu.
Jestem ponad czasem, który jest
laską niewidomego,
podporą odmierzającą
kroki

godziny
dni
lata
wieki
epoki
wśród nieważkości istnienia czasu nie ma. Zazdroszczą mi ptaki
ograniczone wysokością lotu
Wszechświat jest bez granic.
Nie kończę wiersza, bo czy może mieć koniec
to co nie ma początku?

Schody

Wspinam się po schodach
zagubionego odprysku blasku.
Nie ma poręczy.
Rozważam każdy krok
niemocy własnego istnienia.
Podejmuje walkę z wiatrakiem.
Czai się niewiadoma
Jest we mnie niespożyta
siła człowieczeństwa
Może zdążę przed odpływem morza poświaty.

Zagubiony dźwięk

Uderzam w klawisze ciszy
Dźwięk zaplątany w strunach pieśni
Nie budzi mnie blask dnia
Nie usypia mrok przestrzeni
Podaj mi dłoń
bym mogła odnaleźć siebie
na osi czasu

Maria Mickiewicz-Gawędzka

Bajka z pazurem

Znikąd przyleciało male i upiorne
jakby los je rzucił... Jakaś misję miało
ze światów odległych
lub ciekawe było
ludzi,
tak uparcie w okna zaglądało.

Moment wahania.
Respekt budził szpon ostry
ukryty pod maską cikliwej bezradności,
i choć chwilową chimera być miało
prze **kra** cza lo wszelkie progi gościnności

wnosząc nam symbole całkiem nowej treści,
bo wszystko widziało lepiej z lotu ptaka.
Ja przeczucie miałam, że posłaniec zleci,
aby zwycięstwo nad Złem tu wykrakać.

I usiadło sobie to dziwne stworzenie
między legendami na najwyższej półce.
Z bajd o bohaterach wyrывało wersy
demaskując zdrajców, niegodziwych ludzi.

Za **kra** kało czasem machając faktami
zwłaszcza późną porą, kiedy wschodził Księżyc...
W powietrzu się czuło niebotyczne zmiany
na wielu poziomach.
To niemal był pewnik.

Może wy**kracze** złym mocom zagładę,
gniew Boga i ludu!
Ja zaczekam jeszcze
aż Zło się przeleje nie znając umiaru!
Niech czuje nad sobą krakanie złowieszczel!

Po zachodzie Słońca

Nie zapalajcie świateł,
kiedy zachodzi Słońce.
W półmroku was odnajdę,
bo sprawy są wiodące.

Blasku żarówek nie trzeba!
Iskra jest żywa w sercu!
Życie toczyć się może
dyskretnie tak,
po ciemku...

Pogaście wszystkie świece,
gdy jestem z wami tutaj!
Dziś z rytmu serc wywróżę,
co w duszach gra, posłucham.

Znamy się nie od dzisiaj,
nie trzeba patrzeć w oczy
o wielkich mówiąc sprawach.
Słowo niech nas jednoczy!

Ciemnością was otulę,
gdy wierszem będę mówić.
Po ciemku więcej można
i łatwiej się polubić.

Zbyt jasno ciągle! Zbyt widno!
Światła są niebezpieczne!
Cera już nie tak gładka...
Półmroki są konieczne.

Zasłońcie także okna!
Nie żądam nazbyt dużo.
Za oknem Księżyc, gwiazdy,
gotowe mnie odurzyć,

sprawić, że się zapomnę,
zacznę wam tańczyć, śpiewać...
Ludzie mi nie wybaczą,
w niebie będą się gniewać...

Patrzycie tacy zdumieni,
pytacie, co mnie naszło?
Nie, nie, nic...
Po prostu szkoda światła,
gdy Słońce dawno zaszło.

Wiedźmy nocą

Nie ma nikogo... Nic nie szkodzi.
furtka zamknięta, klucze wiszą.
Ja przecież nocą lubię chodzić
i mówić, mówić,
choć nie słyszą.

Nie ma rozmówców,
nikt nie słucha,
nikt nie strofuje, nie zniechęca.
Mój głos przenika ciszę głuchą...
Noc do milczenia nie zachęca

i bardzo dobrze, żalu nie ma,
nikogo krzyk mój nie obraża,
z siebie te złości zrzucić trzeba,
by się na gniew czyjś nie narażać,

nie tłumić w sobie, nie tkwić w złości,
a wszystkie żale, przykre myśli,
wykrzyczeć śmiało

w samotności,
a potem...

potem
wam się przyśnić,
jak nocna zjawą, nimfa polna,
co przez sen mówić usiłuje,
do wielkich uczuć kiedyś zdolna,
dziś uczuciami nie szarżuje.

One dla młodych i bogatych,
pięknych, uroczych pań i panów.
i cały świat otwarty dla tych,
co do miłości prawo mają.

Ja nie zazdrosna o uczucia,
nic mi do szczęścia dziś nie trzeba,
nie dla mnie przyziemności życia,
gdy już tak blisko jest do nieba,
że tylko sięgnąć po to niebo...

Nie trzeba na nie kasy dużej.
także biletu tam nie trzeba
i można zostać sobie dłużej...

Takie refleksje mnie nachodzą
zawsze, gdy błędzę gdzieś nocami!

A więdźmy dziwne myśli mają,
gdy pod cudzymi siedzą drzwiami...

Celina Mioduszevska

Pytanie bez sensu

Warszawa oko otwiera
stuk puk, puk stuk
podkowy stóp zaspanych przygniatają chodnik
zza rolety na świat wygląda czyjś nowy dzień
– czy znów dokopie?
– czy wreszcie ukoii?
I tak od pieluchy po trumnę.

Warszawa, 14.10.2015

Rachunek

(bez daty wystawienia)

Co pozostało z życia?
Stos pożółkłych kartek
zapisanych radością i żalem
i narzekań lawa
że nauczyć chciała
że egoistka – nie współpracowała
edukacyjna rola – wartość znaczna
w niedowładzie zakolu
sercem być przestała
innym cześć, innym chwala.

Celina Mioduszevska

Samotnica

Wiejską drogę, szczelnie usłaną kocimi łbami, przemierza Stefcia. Powlóczyłszy kroki celowo rozciągają kolejne minuty jej dłużącego się jalonego przedpołudnia. Czy to wiosna, lato, jesień czy zima, tego czasu ma jednakowo dużo, co jest czymś nieprawdopodobnym dla wiecznie zapracowanych, zapędzonych mieszkańców Nizin.

Mijając kolejne domostwa, usytuowane po jednej i drugiej stronie drogi, niczym sowa wytrzeszcza oczy, by ujrzeć cień człowieka krzątającego się po obejściu swego podwórka lub izby. Na próżno. Druga połowa upalnego czerwca wypędziła ludzi w pole. Grabią siano, piela warzywne grządki, buraki i kartofle. Nawet jeżeli już ktoś pozostał w domu, by przygotować strawę, zaopiekować się dzieckiem, to na widok Stefci chowa się gdzie może, by nie zostać przez nią zauważonym, bo szkoda cennego czasu. Biedna kobieta. Nawet nie ma z kim zamówić słowa.

Skręciła w lewo. Aby dojść do domu dalszych krewnych ze strony od lat zmarłej matki, musiała przemierzyć dłuższą uliczkę przeciętą prawie suchą już o tej porze rzeczką. Usłyszawszy głosy małych dzieci, rozchmurzyła się nieco. Czoło jej uniosło się. Zmarszczek na twarzy jakby ubyło.

– O, chociaż tu ktoś jest! Wszystkich powymiało ze wsi, czy co? – wypowiedziała oburzonym głosem. – Wujenko, przecież każdy ma jakieś obowiązki – tłumaczyła Justyna, która była dziś w domu ze względu na to, że opiekowała się bliźniaczkami starszej siostry. Dwie roczne dziewczynki siedziały w podwójnej spacerówce i bacznie obserwowały dłonie cioci w pośpiechu składające zdjętą ze sznura bieliznę. Dziewczyna wykorzystywała każdą wolną chwilę, żeby zdążyć wykonać wszystko przed powrotem z pracy matki bliźniaczek.

– Gdzie matka? – zwróciła się wujna z kolejnym pytaniem do dziewczyny. – Mamusia z tatusem piela buraki – poinformowała. – Pielą i piela, wypielić nie mogą. Rojany. Żniwa za pasem, a oni jeszcze buraków nie opioili – z naganą artykułowała Stefcia.

Wytrąciła tym Justynę z równowagi, ale postanowiła to przemilczeć, nie odrywając się od pracy.

Stefcia, stojąc z rękami założonymi pod boki, nucila, a raczej mruzczała coś pod nosem. – Siada wujenka – dziewczyna wskazała kobiecie jedno z krzeseł towarzyszących ogrodowemu stolikowi z wszechobecnego plastiku. – A co, po obiedzie już? – A nie, jeszcze nie. – Gieniuchy nie ma, to ja już sobie pójdę. Poszła.

Weszła do ponurej kiszkowatej sieni murowanego domu. Otworzyła drzwi kuchni. Północne okno sprawiało, że mimo upału panującego na dwo-

rze, w tym pomieszczeniu gościła przytłumiona szarość. Jednak to zacięzione miejsce zamiast koić rozgrzane skwarem ciało, dodatkowo drażniło. Zawężony żołądek lokatorki umieszczony w przylegającym do pleców wkleśłym brzuchu, domagał się obiadu. Otworzyła drzwi lodówki. Na startą ceratą pokrywającą stół wystawiła słoik sklepowego dżemu i zawiniątko – resztki masła roślinnego. Z trudem odkroiła dwie kromki stwardniałego pszennego chleba. Nie zaparzyła herbaty. Trzeba było zagotować wodę. Posiliła się nieco. Wdepnęła jeszcze do alkierza. Do wyblakłych ust włożyła jakieś proszki. Przelknęła gorzką ślinę. Czym prędzej opuściła wnętrze.

Wieżką drogę, szczerlnie uslaną kocimi łbami, przemierza Stefcia. Powłóczyście kroki celowo rozciągają kolejne minuty jej dłużej się jałowej pory poobiedniej. Wyszła poza zabudowania wioski. Mysim wzrokiem ogarnęła położenie pól, szczególnie wypatrując wśród nich swego skrawka i swych laciatych podopiecznych. Pfu... To było dawno... Teraz nie miała nic. Serce bolało. Oj, gdyby Stefanisko żył! – westchnęła, aż zabolęło w zwiędłej piersi. Zwróciła gwałtownie. Przymarszczona kiecka w drobną kratkę sięgająca do połowy cienkich zwiotczonych łydek płacze się między nogami. Perkalowa chustka przewiązana przez siwą głowę osuwa się na czoło. Złoty, wytarty już krążek bez trudu przemieszcza się na wycieniałym środkowym palcu lewej dłoni. Uwiera. Niechęć do życia wypełnia duszę kobiety.

Znalazła się w pobliżu zabudowań Luciów. Popatrzyła na swój były sad, który zimą skurwysyn zięć sprzedal sąsiadom. – Wejść do nich – pomyślała.

Kaziucha piekła drożdżowe rogaliki na podwieczorek. Ciepło-słodka marmoladowa woń napelniała wnętrze nowoczesnej kuchni. Gospodyni krzątała się po niej jak mechanizm. Spieszyła się, by jak najszybciej wyjść w pole. – O! Kaziucha, chociaż ty w domu. Nigdzie żywej duszy. – Ach tak, pani Nowacka, taka pora. Każdy ma mnóstwo zajęć. Nie przerywała pracy, zręcznie przesuwając w spracowanych palcach drożdżowe ciasto, wyjmując z blachy porcję rumianych rogalików, nakładając następną. Stefcia nie odrywała wzroku. Na koniec gospodyni kopiastrą glinianą misę pulchnych wypieków zawinęła w białą serwetkę i wstawiła do wiklinowego koszyka. – No, pani Nowacka, muszę iść na pole. – Pole i pole, z waszymi polami, wstała i wyszła. Niechciana samotnica.

Wieżką drogę, szczerlnie uslaną kocimi łbami, Nizinianie podążają do swych domostw. Czerwcowe popołudniowe słońce ostatkiem sił liże przegrzane obejścia i zmęczone ciała ludzi. Tak bardzo chcieliby już odpocząć, a tu jeszcze inwentarskie obowiązki. I tak do nocy. A Stefcia? Siedzi na drewnianej ławce pomachując założoną nogą na nogę nogą. Czubkiem gumowego kalosza dotyka rabaty gęsto porośniętej ogrodową pokrzywą. Jej wąskie przygarbione plecy podpira sztywna bujna komosa. – Oj, ja biedna! Stefanisko, Stefanisko, żebyś ty żył!?

Już dawno temu skrawek ziemi wokół jej domu pożegnał gęsty dywan żółtych nagietek, pudrowych astrów i różowych lewkonii. Mięsiste płaty bujnej złotej kuli rosnącej pod kuchennym oknem, ustąpiły miejsca fioletowym falbankom i kłującym igielkom ostu.

Samotnica, znużona samotnością, zmęczona brakiem obowiązków, których mieć nie chciała, zaczynała się już bać długiej bezsennej nocy.

Anna Jolanta Miziołek

Do Prezesa III

W wielkim mieście
w wysokim budynku
jest magiczne miejsce spotkań
malutki, skromny pokój
numer zapisany w prostych cyfrach
o przypadkowej kolejności
cztery, dwa, pięć
by rozmawiać o poważnych sprawach
omawiać historie
żartować
świętować wspólnie ważne daty
przywraca optymizm
dodaje otuchy.
Ważny jest drugi człowiek

Smak soku

Pamięci Izzy

Ważne było dla Ciebie
picie co rano
soku pomarańczowego
w polskiej szarżyźnie
niedoścignione
kolorowe pragnienie
symbol luksusu
by go osiągnąć
trzeba wszystko zmienić
wyjechać zagranicę.
Mimo to rozwiązanie
nie przychodzi
uwypukliło marzenia
o życiu w pięknym i sprawiedliwym świecie
opiekującym się słabszymi
świecie miłości doskonałej.
Dzisiaj nie wiesz czy twój smak się zmienił
czy to sok zmienił smak?

Języki

Nieznany świat
obcych kultur zachwyca
nauka języków przybliża
do ich poznana
uczymy się anglo-hisz-chińskiego
bo ludzie są wyjątkowi
ale zapominamy
o istotach Bożych
inaczej wyrażają emocje
mową ciała
ulożeniem ogona czy uszu
warczeniem
łaszeniem się
mruczeniem
to dla ludzi zapracowanych
o zamkniętych wewnątrz
rzeczywiście obce języki.
Zagadki!

Edyta Moskwa

Pod kontrolą

Beata zapala boczne światła obok łazienkowego lustra i zbliża twarz do tafli szkła. Obserwuje resztki niezmytego wczoraj makijażu i dwa szare podłużne ślady od kącików oczu, aż po skrzydelka nosa. Wyglądają nieprzyjemnie, jakby w czasie snu prześlizgnął się po jej twarzy ślimak, a potem odpadł zostawiając dowód spaceru. Beata wysuwa szufladę i wyjmuje na pamięć opakowania kosmetyków. Pudelka obraca w dłoniach, pokonuje lekki opór i otwiera. Szybko zmywa twarz, potem robi nową. Przygląda się dłużej czarnej kredce. W końcu zdejmuje nasadkę, naciąga jedną powiekę, potem drugą. Stara się poprowadzić dłoń idealnie. Zrobić coś raz a dobrze, bez poprawek. Denerwuje się jednak, bo wychodzi poza niewidzialną linię. Wszystko przez wczorajszy wieczór z mężem – myśli. Poprawia cień na lewej powiece, potem zaczesuje brwi. Odkłada wszystko na miejsce, gasi światło. Szybko ubiera się. Potem idzie do gwiżdżącego czajnika, parzy herbatę w dzbanku, bo mąż oczywiście o tym nie pomyślał. Smaruje kanapki dla siebie i dzieci. Wkłada telefon do torebki i krzyczy na młodsze dziecko, żeby nie zaspalo. Wychodzi. Już za drzwiami robi rachunek sumienia, czy wszystko wzięła. Ostatnio jest świetnie zorganizowana. Gdy na chodnik zajeżdża koleżanka, Beata wsiada bez wahania.

Dyżurka izby przyjęć jest schowana, bo to stare budownictwo. Dzięki temu wszystko dociera tu łagodniejsze. Idealne miejsce, by odpocząć. Beata robi mocną kawę, wrzuca do niej dwie tabletki słodzika. Miesza i obserwuje opadające fusy na dno szklanki, przy tym słucha raportu. Z nocy zostaje czterech pacjentów. Jeden czeka tylko na złożenie podpisu, pozostali dostają kroplówki. Leżą dobrowolnie przywiązani rurką, połączeni ze szpitalnym światem, plastikową pępowiną. Tu czas odmierza się kroplami – przeszło przez myśl Beacie i jednocześnie czuje dreszcz, coś na kształt radości pomieszanej z odpowiedzialnością, smak władzy. Może przecież jednym tylko kciukiem zwolnić lub przyspieszyć kapanie, zmienić upływ czasu. Potem notuje ważne sprawy na dziś, dzwoni w kilka miejsc. Włącza komputer, wysyła raport. W końcu pojawiają się kolejni pacjenci, ci są oczekiwani. Kilkanaście nazwisk od dawna zapowiadała tablica. Tak mija godzina za godziną. Co pewien czas któraś z pielęgniarek znika na chwilę w dyżurce.

O dwunastej trzydzieści do okienka podbiega młody mężczyzna. Jest tylko w bluzie, choć na zewnątrz wciąż trzyma mróz. W otwór w szybie wykrzykuje, że jego żona zasłabła, ma ją w samochodzie.

– Samochód jest na podjeździe? – któraś spytała. Mężczyzna kiwa głową i szybkim krokiem wychodzi na dwór. Beata bierze po parze rękawic

dla trzech osób. W tym czasie dwie pielęgniarki już przeprowadzają wózek leżący i pchają go do wyjścia. Beata blokuje drzwi i podaje rękawiczki koleżankom, swoje już założyła. Przez przednią szybę samochodu widać drobne ciało. Mężczyzna zajechał pod prąd i teraz trzeba obejść pojazd, by się dostać do przednich drzwi pasażera. Beata z daleka wypatruje, czy kobieta oddycha. Wydaje jej się, że piersi są nieruchome. Zagląda do wnętrza samochodu i przykłada palce do szyi. Na głos mówi słowa, których sama nie słyszy, bo w głowie układa już kolejność czynności. Woła mężczyznę, by pomógł jej dźwignąć jego żonę. Pochyla się, by chwycić za nogi, wtedy zauważa na tylnym siedzeniu dziewczynkę, na oko dziesięcioletnią. Ich spojrzenia spotykają się i Beata przez chwilę myśli tylko o tym dziecku. Opanowuje jednak emocje i wraca do rozpoczętej czynności. Jednym ruchem wyjmują bezwładne ciało, które układają na wózku. Któraś z pielęgniarek od razu zaczyna rytmicznie uciskać mostek. Muszą jak najszybciej dotrzeć na izbę.

Z obciążeniem i w klapkach idzie się ciężko. Na korytarzu czekający pacjenci przyglądają się, schodzą na bok, ale z opóźnieniem, niechętnie. Gdy pielęgniarki są wreszcie na miejscu, Beata wyjmuje maskę i przykłada do twarzy kobiety. Wtłacza dwie porcje powietrza, odkręca tlen. Ktoś uruchamia defibrylator, wzywa lekarzy. Za chwilę w sali jest pięć, potem sześć osób. Jeden lekarz staje przy twarzy kobiety, więc Beata ma wolne dwie ręce. Zmienia koleżankę przy masażu serca, ale już po dwóch minutach ma dość. Wytrzymuje jeszcze chwilę i woła, by ją zmienić. Lekarz przykłada metalowe płytki defibrylatora do skóry kobiety, słychać ciągle sygnał ładowania. Odsuńcie się – mówi i uwalnia energię. Leki płyną strumieniem. Czynności powtarzają się. Beata po raz kolejny zmienia koleżankę. Lekarz przykłada łyżki i robi zapis, wszyscy obserwują na monitorze równą linię. Potem zagląda pod powieki kobiety, świeci małą latarką wprost w źrenice, ale światło nie razi jej, nie powoduje bólu, odwrócenia głowy. Prowadzący całą akcję mówi na głos – przerywamy. Spogląda na zegar i podaje godzinę. Dopiero teraz Beata zauważa, że od czasu przybycia mężczyzny w bluzie, upłynęło pięćdziesiąt pięć minut. Wszyscy przez chwilę stoją i patrzą na ciało.

Sklute ręce zwisają po obu stronach łóżka, kroplówki jeszcze płyną. Z ust kobiety wystaje rurka, przy piersiach sterczy rozcięty stanik, włosy i ubrania w nieładzie. Jedynie kozaki na nogach, rajstopy i spódnica są na miejscu, jakby ta część ciała jeszcze miała przeznaczenie wstać i pójść. Lekarz chce zawołać rodzinę. Więc pielęgniarki wyjmują rurki, bandażują ręce, przykrywają piersi bluzką i zasuwają parawan. Czy mąż zechce podejść, tego nie wiadomo, ale trzeba być przygotowanym. Słyszą z za parawanu, że otwierają się drzwi, potem jak się zamykają. Beata zajęta jeszcze przez chwilę nie zauważa, że inne pielęgniarki wyszły, zapewne do dyżurki. Sama wie, że później będzie czas na pozostałe czynności, ale teraz chce ułożyć zuchwę zmarłej w odpowiedniej pozycji, by nie otwierała się bezwstydnie. Przytrzymuje ją przez chwilę

na miejscu, potem puszcza, szczeka jednak ponownie opada i świecą bielą równe, całkiem zdrowe zęby. Beata nie daje za wygraną i ponawia próbę. Lekarz tłumaczy coś mężczyźnie i wypytuje o przebyte choroby. Za parawan docierają odpowiedzi, ale niewyraźne, już nieważne.

Klapnęły zamykane drzwi i chwilę później za kotarę zagląda ten sam człowiek, który przywiózł umierającą. Mężczyzna najpierw jest zaskoczony obecnością pielęgniarki. Zaczepia rozmowę, nie pozwala odejść. Mówi, że tak samo umarł jego ojciec, że wiozł go do szpitala i wydawało się, że tylko zasłabł. Wtedy też wszystko działo się szybko. Potem z oczu mężczyzny zaczynają płynąć łzy. Beata puszcza żuchwę i jest jej wszystko jedno, chce tylko wyjść, by nie przeszkadzać. Urywa po drodze papierowy ręcznik i podaje mężczyźnie. Gdy chce opuścić pomieszczenie zauważa, że do sali weszło to samo dziecko, które siedziało w samochodzie. Dziewczynka była oddzielona parawanem i na szczęście niczego nie widziała. Beata woła mężczyznę. On, widząc dziecko, chwyta je gwałtownie i bierze na ręce. Wtula twarz w jej ubranie. Obejmuje. Z początku lżej, potem mocniej. Beata myśli, że to może boleć. Dochodzi do niej tłumiony płacz, męski. Odwraca się i chce wyjść po cichu, jednak znów zostaje zatrzymana.

– Czy myśli pani, że córka może się pożegnać z... – i słowo mama nie przechodzi mu przez gardło. Beata w pierwszej chwili nie jest pewna, co odpowiedzieć. Najpierw chce odwieść mężczyznę od tego pomysłu. Chwilę obserwuje dziewczynkę. To jeszcze małe dziecko.

– Tak – cicho odpowiada i tym razem wychodzi.

Wracając do domu Beata rozmawia z koleżanką o obiedzie. W nadgarstkach czuje ból. Już przy wejściu do domu zauważa, że męża jeszcze nie ma. Jego kapcie są ciągle na półce. Woła na dzieci, że wróciła i pyta, czy brały sobie już coś do jedzenia. Słyszy przez ściany dwie odpowiedzi. Nie jestem głodny i jadłam w szkole. Idzie potem do dużego pokoju i włącza swoją ulubioną płytę. Nastawia sprzęt nieco głośniejsze, żeby słyszeć w kuchni. Wlewa wodę do garnka i stawia go na płycie kuchenki, zapala ogień. Otwiera lodówkę i sięga do półki z warzywami. Po chwili słyszy, jak do domu wraca mąż. Dociera do niej służbowe cześć, co wprawne ucho Beaty wychwytyje od razu. Odpowiada równie służbowo i zaczyna obieranie ziemniaków. Po kilku minutach ustaje muzyka w głośnikach. Bez żadnego tłumaczenia, bez pytania. W miejsce chwilowej ciszy pojawia się dźwięk telewizora. W Beacie zaczyna się wszystko burzyć. Kolejne czynności są szybkie. Idzie do męża i staje tak, by zasłonić sobą ekran telewizora. Słowa, które wypowiada, wyskakują same.

Kamila Nowakowska

* * *

Idą
Pierwszy
Druga
Zakochana para
Opiekun
Następni

Dorosłe dzieci snują się wśród marzeń
Niosą swoje krzywdy i nadzieje
Jeszcze liczą na innych
A jednak

To już czternasty rok jak ich widzę
I znowu
Idą gęsiego
Z papierosem

Coraz słabsi
Bez korzystnej zmiany
Pochyleni nad ziemią
W drodze do nieba

* * *

To było niemożliwe
Nikt nawet nie pomyślał
I nikt nie pomógł

Wygodnie było zająć się sobą
Odwrócić głowę
Milczeć

Przejsć obojętnie
Zlekceważyć
Może nawet i wyśmiać

A jednak to dziecko było tak bliskie prawdy
Tak ufne
I tak głodne

Szczęśliwe z okruszyn miłości
Z łaski wyniosłych
Z matactw tych którzy nie powinni

Zabrakło im wyobraźni
Nie uwierzyli
Zamknięci w sobie umarli

27-30.05.2013 – Zabłotczyzna

Agnieszka Ochenkowska

Pytasz kto pisał

naprawdę mówię napisał wszystkie moje wiersze
poeta trzydziestopięćipółletni a na imię miał
marian albo jakoś inaczej
w każdym razie miał brodę długą i kręconą
miał na paczkę fajek zawsze miał dziewczyny
a każdą następną lepszą od poprzedniej

naprawdę mówię zalatywało od niego tymi fajami
możesz mi wierzyć że był moją prawą ręką
ale interesował się modelarstwem
i kleił papierowe samolociki w które puszczał kółeczka z dymu
a one wirowały i czepiały się karnisza niczym male
karakony tak marian kochał samoloty

od kiedy jeden najważniejszy samolot spadł
wtedy marian po raz pierwszy włączył telewizor
zamiast dalej chlać patrzy a tam piękna pani blondyna
mówi kraj nasz dzieli się cały czas się dzieli
plonie jak warszawa

dzieli się myśli nieudany poeta marian
potem siada za biurkiem i pisze kolejny wiersz
o samolotach które czasem nie lądują i o mojej książce

której chyba nigdy nie skończy
pijus jeden.

Jadwiga Pilińska

Detonacja

Wrześniowy dzień chylił się ku końcowi. Zachodzące słońce obiecywało pogodne jutro.

W kuchennej części izby, na niewielkim sosnowym, kwadratowym stole stała dzieża z przesianą przez sito mąką przygotowaną do rozczynienia chleba.

Rodzina składała się z siedmiu osób. Raz w tygodniu matka wypiekała okrągłe, pachnące bochenki chleba i podplomyki.

Tego wieczora nic nie zapowiadało niespodzianek. Dzieci, bawiąc i śmiejąc się, kolejno wchodziły do dużej, owalnej, metalowej balii wypełnionej ciepłą wodą. Dwoje najmłodszych kąpało się razem. Nagle dało się słyszeć głośny huk, a potem kolejne detonacje. Z okien, ku przerażeniu najmłodszych powypadały szyby, a z dzieży uniósł się biały pył mąki i jak śnieg zabielił pomieszczenie kuchni.

Zgasł płomyk naftowej lampy. Ciemność ogarnęła pomieszczenie. Wszyscy byli wystraszeni i zdezorientowani. Ojciec rodziny wybiegł z izby, by sprawdzić, co się dzieje. Ktoś z sąsiedztwa zarządził opuszczenie domostw i schronienie się w zaroślach poza wsią. I tak, pod osłoną nocy matki, zabrawszy swoje wystraszone pociechy, drogą obsadzoną brzoza powędrowały za ostatnie zabudowania wsi.

Zarośli, które miały dać schronienie, nie było zbyt wiele, toteż część matek z dziećmi skryła się na zapleczu długiej stodoly. Jej drewniana ściana posłużyła za oparcie dla zmęczonych pleców kobiet, które w obszernych spódnicach piastowały swe najmłodsze pociechy, kołysząc je do snu.

Wszyscy uciekinierzy z niepokojem oczekiwali na to, co przyniesie następny dzień.

Kiedy słońce weszło nad horyzont, diatwa otwierała zaspane oczy, ze zdumieniem i niepokojem przypominała sobie, dlaczego nie jest w swoich izbach, pod ciepłą pierzynką, tylko w łóżach z matczynych spódnic.

O świcie przybył posłaniec z wiadomością od tych, którzy zostali w swych domostwach – by wracać. Było spokojnie, nie nastąpiły kolejne wybuchy.

W niedługim czasie wyjaśniło się, że w pobliskiej składnicy uzbrojenia zdetonowano materiały wybuchowe. Rozmiar detonacji był szokujący. Benzyna, proch i rozrywająca się różnego rodzaju amunicja tworzyły kanonadę oraz mieszaninę smrodu, ognia i gradu odłamków, spadających na zabudowania pobliskich miejscowości, na Staw, Karasiówki, Julinę, Krasnoglin, Moszczanki, Mierzwiączki.

Dlaczego detonacja

Rozpoczęły się działania wojenne na terenach wschodnio-południowych. Drugiego września 1939 roku Lutwaffe uderzyła na naziemne obiekty węzła lotniczego w Dęblinie (Dęblin, Żyrzyn, Ulęż). Do dwunastego września kilkakrotnie bombardowano obiekty wojskowe i kolejowe w Dęblinie, Rykach i okolicy.

W nocy z ósmego na dziewiątego września 1939 roku, oddziały niemieckie I Dywizjonu Pancernego i XIII Dywizjonu Pancernego Zmotoryzowanego, po zaciętych walkach zdobyły przyczółki na wschodnim brzegu Wisły, na odcinku od Góry Kalwarii do Świerży Górnych koło Kozienic.

Trzynastego września, gdy Niemcy forsowali Wisłę pod Górą Kalwarią, potem pod Annopolem i na południe od Dęblina, generał Olbrycht wydał rozkaz zniszczenia Głównej Składnicy Uzbrojenia Nr 2 w Stawach. W nocy z czternastego na piętnastego września podczas odwrotu saperzy 39. DOREz. przystąpili do wykonania tego rozkazu. Główna składnica materiałów pędno-smarnych (benzyny, ropy i olejów) oraz główna składnica benzyny lotniczej – spłonęły. Broni i amunicji nie udało się zniszczyć w stu procentach. Zniszczono trzy czwarte wszystkich rezerw karabinów ręcznych. Nie wiadomo, ile amunicji i surowca do produkcji broni. Podjęcie takiej decyzji było znakomitym posunięciem, gdyż już piętnastego września Niemcy zajęli Stawy.

Rozpoczął się czas wojny, a wraz z nią nastał czas niepokoju. Dla dzieci zakończył się okres beztroskich zabaw, bezpieczeństwa waleśniania się po pobliskich, niewielkich lasach i łąkach, kąpieli w stawach, których w okolicy było kilka. Rodzice w trosce o swoje potomstwo nakazali im bawić się w obrębie domostw i zachowywać czujność na wszelkie niebezpieczeństwa. Przyszedł czas wielu dni pełnych niepokoju o życie i nocy przespanych w szczelinach przeciwlotniczych wykładanych dla ocieplenia wiórami drewna, schronach, ziemiankach gdzie przeczekiwano naloty.

Krystyna Rejniak

O Najmilszej...

W 71. rocznicę wyzwolenia Warszawy

Cegła na kamieniu...
ciszę pożera ziąb...
strach powala...
Nie!
Światelko jest w tunelu...
Iść do przodu...
Po zmartwychwstanie...
Tli się nowe życie...
Pną się do nieba ściany...
Słońce dachy ogrzewa...
W parku chichot radości...
Szczęście rodziny...
Ofiaruję Tobie
– Niezwyciężona –
Kwiat wdzięczności...

Nikt?

Był zawsze wśród nas, taki sobie nijaki...
Uczynny, choć tajemniczy w sobie...
Może i chciał coś powiedzieć, ale...
Dotykało nas jego ciepło, delikatność.
Dobrze czuliśmy się z nim.
Pewnego dnia odszedł...
Trochę żal jest tego dobrego ducha...
Czy on był tutaj naprawdę?
– Był.
A może to był po prostu człowiek – Nikt?...

Woda

Krople wody spadły na moją dłoń.
Poczułam w niej życie.

Moje istnienie,
miłość,
wdzięczność.
Pokarm mój.
Boże...

Światło

Splynęła jasność z nieba
zatoczyła kołem.
Magiczna moc
oblevała niezwykłą
umiłowaniem
podświadomość.
Wtlaczając
światlistą energię
karmiła jaźń
dotykem Boga.
Dar z wysokości.
Zamieszkało...

Kartki...

Są kartki połówkle zapisane
szczęściem, miłością i radością.
Słowa napelnione wzruszeniem,
mijających wskazówek w zegarze.
Jawia się znane postacie w myśli,
ich dotyk sprawia, że coś się tli...
Jasna gwiazdka na choince
rozjaśnia odświętny nakryty stół...
Przyjdź gościu mój oczekiwany...
rozpal me serce ciepłym światłem.

Zrywa się kolejny dobry dzień,
odlatując w czasoprzestrzeń...

24.12.2015

Dzień

Trawę przykryła rosa.
Ścieżka wydeptana w nią.
Wniósł się przyjemny zapach.
Wierzba pogłaskała głowę.
Upojona, zmrużyłam powieki.
Przypłynął nowy dzień.
Rozświetlając gamą barw.
Szpaki chórem w głos.
Spłynął promień gorący.
Mówiąc: mamy Wiosnę

Orzeł Biały

W setną rocznicę urodzin generała Stanisława Skalskiego

Na tle nieba jarzy się ciemnozielony
ptak przyozdobiony szachownicą.
W nim orzeł biały – as pilotażu,
pod nim ląd gościnnej Anglii.

Tęskno wygląda stron Ojczyzny.
Tymczasem ściele celnie ogniem
we wrogie latające swastyki.
Biada być im w polu rażenia.

Wraca do gniazda rodaków
triumfalnie przeży dumną pierś.
Ze skrzydeł wylatują mu słowa
hymnu umiłowanej Polski.

Rejs

Wiatr chwilowo mieszka w żaglach.
Płynę, fala uderza o burtę.
Woda rozpryskuje się po twarzy miło.
Promienie słońca wysusza ją.

Na horyzoncie bezkres.

Łódź ślizga się po akwennie.
Ciagnę fal grota i basta.
Na tle nieba płyną kumulusy.

Na oku przyjazny port.
Czas rzucić cumy.
Zejsć na na ląd.
A może by tak wrócić w rejs?

Koncert

Pamięci Bogny Sokorskiej

Klucz, nutka w nutkę zabrzmiały muzą.
Popłynęła melodia jak rwący potok.
I ten piękny wyrywa się głos.
Ach! Zapiera oddech w piersiach.
Jaki piękny, delikatny...
Balsam dla duszy i ciała.
Pozostań we mnie
Warszawski Słowiku.
Co za radość słyszeć Ciebie.

Marlena Maria Semczyszyn

Sen

Zagmatwana. Niepojęta.
Odtajana. Zamarznięta.
Gną się ślady stóp w dywanie
– aksamitne me posłanie.
Kiedy mknę przez leż tyranie
– aksamitne me posłanie.
Wtem usuwam ślad rozpaczy
Drzę, bo to tak mało znaczy
Nicość czarną nutą garnie
W mroku znane lśnią latarnie
I kiedy chwilą leż zmrużone
oczy pragną – wiem, że nie utonę
I z utęsknieniem, z przerażeniem
niczym wolności taktów brzmieniem
uciekam. Chowam za uśpieniem
Milczę.
Majaczy więzień bezbronności,
gdy buntowniczy strażnik czuwa.
Mglista pora, kotar cienie
wspomnień nasuwają mi cierpienie
Przez księżycą sierp srebrzący,
po świt rosy rannej drżący
Brnąć przez szary kres istnienia
Łaknąć udoskonaleń
Lampy jasnej wschodu biciem
Tym, co można nazwać życiem.

Styczeń 2004

* * *

Chcę przepaść w bezkres wijącej się drogi
W ciemnym kącie szuflady pamięci
Panie! Błagam o obronę!
Ja w otchłani tonę...
tonę...

Kropel słonych enigma niezgłębiona
Nieszczęść plaga – wizerunku zmoza
Nierozumianych cech rozumu czeluści
Z więzienia istnienia
niech mnie ktoś
wypuści!

Grudzień 2003

Jesienna

Już nie ma drzew na liściach
ni ziemi na trawie,
z dalekich krajów wracają
zdezorientowane żurawie

Już nie ma rzecznych fal
ni żdźbeł na rosie,
odkąd ten dziwny żal
usłyszałam w twoim głosie...

* * *

gdzieś na świecie
żyją słowa
warte myśli
warte uczuć

wciąż powtarzasz
je od nowa
by je słyszeć
by je poczuć

by te słowa
mogły wybrzmieć
niepoznanej duszy echem

by skaziły
ciszy czystość
rozedrganej wargi grzechem
by się niosły

ucha skrajem
niczym amorejska strzała

bez dotyku
to pieszczota
mego serca, a nie ciała

* * *

Czasem
boję się,
że spojrzę w lustro
i nie zobaczę
swojego odbicia

A za którymś wschodem
obejrzę się
i nie będzie go

– mój własny cień
odejdzie znudzony
chodzić za kimś innym.

Jadwiga Siwińska-Pacak

Parakulinary przepis na szczęście

(tekst pisany jako ćwiczenie warsztatów literackich)

Potrawa pochodzi z biblijnego raju. W ciągu wielowiekowej ewolucji sprawdzono jej skuteczność w dziedzinie prokreacji. Była spożywana w każdych warunkach. Zawsze jednak na gorąco, nawet w okolicach koła podbiegunowego. Istnieje nieskończenie wiele sposobów jej przyrządzenia. Musi być spożywana przez dwoje osobników płci odmiennej. Potrawa ta jest deserem, chociaż bywa podawana jako danie obiadowe lub kolacja w sytuacjach wysokiej determinacji podyktowanej głodem i przyprawionej fascynacją oraz tęsknotą.

Smak potrawy jest doznaniem trudnym do zdefiniowania. Stworzenie przepisu jest karkołomnym wysiłkiem bo stanowi próbę wyrażenia kategorii daleko wykraczających poza fizyczność: Deser *Feromony z bąbelkami*.

Składniki:

1. Dojrzały owoc mężczyzny – wysokiego szczupłego blondyna z uśmiechem odsłaniającym pełne uzębienie, o dłoniach pachnących dobrym mydłem i manierach wyzwalających u kobiety stan wyższej samooceny.
2. Kwiat kobiety radosnej o ramionach otwartych, przykrytych niedbale promieniami bujnych włosów.
3. Czas i miejsce – upalna sobota, leniwe popołudnie w domku campingowym opodal plaży.
4. Przyprawy – schłodzony szampan oraz wysoce ślinotokowe kanapki z kawiozem.

Na czas przygotowania i trudności wykonania deseru decydujący wpływ mają feromony. Tworzą one niewidzialną magiczną siłę, dzięki której dwie pary oczu spotykają się na poziomie linii nosów. Zamykają się one w chwili gdy usta przestają być chwilowo narzędziem mowy. Dłonie niecierpliwie szukają najkrótszej drogi zespolenia owocu mężczyzny z kwiatem kobiety. Gdy przyśpieszony oddech i bicie serc osiągają górny pułap – dusze zaczynają śpiewać hymn dziękczynienia.

Serpelice maj 2009

Jadwiga Siwińska-Pacak

Wyczekane tango

Na Ciebie czekać było warto,
Choć wątpliwości los nie szczędził.
Życie nie jest wszak zgraną kartą,
Czasem zaskoczy i sen spędzi.

*

Poprowadź mnie teraz do tańca,
Nie traćmy dłużej ani chwili,
Poddajmy się czarowi walca,
Choćbyśmy się w nim zatracili.

*

Dlaczego patrzysz tak głęboko,
Niepewność odjęła Ci mowę?
Lśni Twoje zalazwione oko,
Nawet policzki purpurowe.

*

Porwijże mnie wreszcie do tańca,
Bo grają tango argentyńskie,
Rozgrzewa ciepło i woń grzańca,
A czas obraca koło młyńskie.

Hanna Sławińska

Wtorek godz 16

Warszawska Szkoła Pisania

Lekcja pierwsza

temat: kropka

Lekcja druga: co przecina przecinek

Trzecia: jak się dobierać słowa właściwie

przykład: „stół” bo stoi

„woda” dla rzeki

rzeka do morza

„Morze” dla możliwości szumu fal, ryb

i kształtów w ciemności: już świt

Czwarta: czas natchnienia

Piąta: temat: eus deus cosmateus

światło do cienia

ziarno do ziarna

od słowa do słowa

Siódma: entliczek pentliczek czerwony stoliczek

na kogo na tego

więc: do zagrody zwrotki spędzam wszystkie słowa,

by odnaleźć jedno: wiersza czarną owcę,

która zawiedzie mnie w góry w przepastne manowce

gdzie odnajdę swoją życiodajną łąkę

Omówienie pracy domowej:

Podano do stołu.

Częstujemy. Smakujemy.

Wszystko jest dobre:

i wielkie metafory wiozące egzotyczne zapachy,

szaty króla, barwne pióra

ku nowym punktom widzenia

i proste lzy

i kropka nad i

nawet wiersze ukryte jeszcze w pąkach wzruszenia.

Tu się to waży i równoważy

maceruje i ceruje,

wspiera i przenika aż osiąga

masę krytyczną poematu na miarę Pegaza epoki

jeszcze tylko gdzieś kropkę przestawić gdzie, gdzieś wstrzymać oddech

coś skreślić, dodać trochę siebie,

jeszcze kilka zdań do przodu dobrze przeczytanych,
i oto: Mistrz i Uczeń na szczycie stają zwycięscy!
Tu jednak dzwonek na przerwę płacze nam języki,
budowla zostaje wstrzymana.
Poemat stacza w dół i rozpryskuje jak lustro
na drobne kawałki
Więc znowu Wtorek. Godz 16

Biały wiersz

Ze względu na porę roku jest to wiersz biały.
Spada z hukiem kaskadą w dół, pieni się, bulgoce
i wydycha parę o kolorach tęczy.
Gdyby było słońce. Ale jest pochmurno.
Słońca nie ma w tym wierszu.
Jest tylko ryk w górze, tej spienionej bieli,
krztuszenie się, płucie, aż do samej ziemi.
Próbuję zrozumieć sens tego belkotu:
ale szum jest biały
Wiem lub tylko wierzę
że się opamięta
i przyjdzie ta chwila kiedy się ogranie
i pojmie cały sobą że nie ma powodu.
Wtedy się zawstydzi: zwolni i uciszy:
stanie się pokorny.
Może szemrzeć będzie,
szeptać coś do siebie,
– jednak mnie usłyszy.
Kosmici z Maimi
Spotkaliśmy się przypadkiem w mieście, które chciało latać.
[gdzieś między chmurami.
Poszliśmy pogadać. Piliśmy kawę w papierowych kubkach
(więcej wartych niż sama kawa).
On – czerwonym, ja z zielonego i.
Rozmowa zesła na temat A.
Zdradził że jednak ma na myśli B i C,
przemilczałam, że zastanawiam się właśnie nad D. Itd.
I tak, popijając kawę szybowaliśmy wraz z miastem
dookoła słońca. Minął rok.
Omówiliśmy dokładnie temat A: wynikło z tego
że połączeni pępowiną losu,

posuwamy się w głąb kosmicznego łona,
a nasza misja na Ziemi jest już zakończona.

Madonna

Madonna wzięła urlop
Opuściła obraz
Będzie nieobecna całe dwa tygodnie
Dzieciątka zostawiła pod opieką wiernych
Czy w cieple udala się kraje
by w morskiej zanurzyć się pianie?
Czy na szczyt się wspina jak górska kozica
i w niebo wstępuje?
To jej tajemnica
Przebrana za śmiertelną już zniknęła w tłumie
Wierzy w wiarę wiernych
którzy patrząc w obraz nie dostrzegą różnicy
w ułożeniu rączki i spojrzeniu dziecka
które zostawiła

Śmierć

To jest lazaret:
Wszyscy tu jesteśmy ranni, każdy w swojej bitwie.
Tylko nie ona:
Jak promień słońca krąży po sali:
Podaje wodę, zmienia opatrunki i trzyma za rękę.
Już – zbliża się do mnie. Jest już tuż obok, już się pochyla.
Zamykam oczy. Biorę ją w ramiona.
Moje ciało jest lekkie, nie dotykam ziemi.
– Gdzie mnie prowadzisz? pyta
– Nic nie mów – muskam płatek ucha – jeszcze nas usłyszą.
I prowadzę ją w tańcu z gwiazdami.

Sławomir Stalmach

Człowiek roślinny

Człowiek roślinny,
korzeniami wrośnięty w pamięć przodków,
bez złości i drwiny z przeszłości,
z nadzieją na jutro.
Jego zadanie polega na tym, żeby znaleźć spokój,
w sadzie ogrodzonym,
o zachodzie słońca,
po wyjściu z rzeki,
gdzie woda cięła stopy szkłem lodowym,
jak kamienie.
Po atakach sąsiadów,
którzy głodni rzucali się na nieswoje,
gdy gasło światło przedwieczne,
na potępienie skołowanych rozumów.
Każdego dnia, nawet mglistego,
z dala od szumu słów nienawistnych,
i na przekór lękom niewiast brzemiennych,
które zaczynają kolejne życie.

Dąb o imieniu Syn

Razem ze świtem,
wstając jak mgły znad pól,
rześko, z podniesieniem powiek spoza snu,
przed zadaniem, które nada treść porankowi,
rozpoczęliśmy pogańskie sadzenie drzewa.
Dąb o imieniu Syn,
jeszcze malutki i wiotki,
ale z potencją, która w pierwiastkach wzrostu,
z autorytetem rosnącym ku niebu białych obłoków,
dającym schronienie po walce i dla wędrowców,
stateczność w pejzażu.
Chodzi o to, że po latach ktoś doceni,
ja powiem – a nie mówiłem!
Z nim czas nie umknie,
nie zmarnujemy ani chwili,

nad wyraz ważniejszy sam fakt.
Dąb rozpocznie to,
co jeszcze przed nami,
przeciw zwątpieniu,
jak wskazanie drogi tym,
którym sens uszedł z głowy.

Za darmo

Setki kraa, dalekich i bliskich,
rozpychając się w koronach ogrodu wiszącego,
przesuwanych falami wiatru,
echujących wzajemnie,
z metalicznymi trąceniami arii koloraturowych,
trylami i pasażami,
i klawiaturą rozpisaną na orkiestrę.
Z góry spadają jak liście lekko falując,
ku ziemi i jej słuchaczom.
Który muzyk podchwyci tę melodię?
Kompozycję daną w prezencie,
za chwilę uwagi,
moment skupienia.
Przecież...
wszystko co najlepsze,
prawie za darmo.

Ślepiec

Mija rok, z obrazami pod pachą,
werniksem pokrytymi dla zapamiętania,
z właściwościami kolorów pędzla posuwistego,
człapie pospiesznie,
złobiąc koleiny poprzodnika.
Jak wrony, dziedziczki pól przeoranych bruzdami,
które przeleciały szybko przez blonia,
harcowiska dla zamieci,
bez oddechu, w pędzie drogi,
nie chcąc odsapnąć nawet chwilę,
w trosce o los przyszły ich potomstwa.
Nie warto stawać w pól drogi.

Kto chce poprawiać sztalugi,
restaurować pejzaże i cieniować kontury,
ten ślepiec,
widzi upływ czasu.

Iwona Świerkula

Żona marynarza

straciłaś wzrok spoglądając w morze
a on tylko czasami wygląda brzegu

twoje policzki słone od lez
on kąpie się w ciepłych zatokach

liczysz godziny długie jak węgorze
on zlicza mewy wyżej i wyżej

nie chcesz dłużej udawać Penelopy
wierzysz że łód zatrzyma jego stopy

a on twój głos porównuje do śpiewu syreny
i w twoich oczach widzi tylko głębiny

walczyć ze sztormami
tyle lat budzisz śpiącego Boga
aby pogodził ocean z łądem

a Bóg mówi
naucz się wreszcie
sama chodzić po wodzie

Stary dom w Falenicy

coraz ich mniej
i ten też umiera
za furtką przymknietą dłonią liścia
nie słychać szczekających psów
na ganku siedzą wrony
pilnują krakaniem ogrodu
tylko chwilami wiatr chrypi
chwilami jęczą schody
ramy okien mchem zielone
wnętrza zszarzałe kurzem
osierocone pokoje
przez pobite szyby przeciąg
plisuje pajęczyny
w oknie brakuje twarzy

wygaszanej ze świecą
stropy przyklekają
choć nadal coś tu mieszka
patrzę jak Świdermajer
rozpada się we współczesny Stonehenge

Epitafia

są dla tych którzy się zatrzymują
po ich lewej stronie

dalej chłód tafli
i urwany oddech

na progach więdną kwiaty
i воск kapie

tam się zmieścili
ci którzy już przeszli przez własne odbicia

tam rozbite wspomnienia i ludzkie kości
ustawione w stalagmity i stalaktyty

na razie nic więcej
na razie nie wiem nic więcej

Rzeźbienie pościeli

z bryły ciemnej wystrugać cię palcami
wejść w jagodowy ogród
między malinowe słowa
pod cytrynowy księżyc
odnaleźć usta potem włosy
rozkruszyć noc w jasny oddech
aż po świtanie
wyobraźnię rozpaść pomiędzy gwiazdami
niech świeci
pokonać smoki te z koszmarów
rzeźbić miłość w jedno
by wpleść cię w bawełnę nocy

Lidia Troć

Moja piosenka...

I

W ramionach wiatru płynę do Ciebie
Burza porwała z mych smutków sieć
Wolna miłością, wolnością ptaka
Bezmiar radości znów chcę dziś mieć

Refren:

I tańczę na moście w rozwianej spódnicy
Ech, wietrze, polecę w Twą dal
A ludzie patrzący z dwóch światów granicy
Pomyślą, że to jej pierwszy bal

II

Unoś mnie wietrze aż po horyzont
Chcę poznać to co nie poznane
Oszczędź mi burz i huraganów
Zbierz w całość to co nie poskładane

III

W ramionach wiatru płynę do ciebie
Gdzie jest ta wyspa pełna barw słońca
Gdzie ziarnka piasku są jak diamenty
Trwaj przy mnie wietrze do dni mych końca

IV

Ramion Twych czuję siłę od świtu
A wiatr we włosach piosenkę nuci
W gorącym piasku na wyspie naszej
Serc połączonych nic nie zasmuci

Strój

Na parkowej ławce kobieta przysiadła
mocno otulona szalem spojrzeń ludzkich,
w butach ściśle myśli sznurowadła,
w kapeluszu wiatr tamtej jesieni

Na parkowej ławce kobieta wciąż siedzi
schowana przed oddechem za okularami,
na szyi wisior z pospolitej miedzi,
faldy spódnicy głosem przetykane

Na parkowej ławce nie ma już kobiety
spódnica niedbale na oparciu zwisa,
szal rzucony w zielone liście mięty,
sznurowadłem róża podwiązana

Pragnienia

Ze stwardniałą kroplą potu
Sięgam po kubek cynowy przy studni
Spuszczam wiadro
Łańcuch jęczy pędząc w pośpiechu
a wiadro obija się o cembrowiny

Źródło wyschło
Mam suche łzy w oczach
popękane usta
Z pragnienia zasychają słowa

W niemych uścisku
przyłgnęłam policzkiem do ziemi
Czuję drżenie spadających kropel

Ona

Zabiegana
pędząc ulicami
nie zwracałam na Nią uwagi
W jasnym wiosennym słońcu
zauważyłam Jej postać
w sklepowej szybie
Stała tam trochę przygarbiona
Wczoraj pokazała mi się
na lustrzanej elewacji budynku
Tak po prostu jak dobrej znajomej
powiedziałam „dzień dobry”
Dzisiaj, choć padał duży deszcz

pieszo wracałam z pracy
kaluże pełne obrazów miasta
W jedną z nich wpadłam
rozchlapując Jej cień

* * *

Dałam twarz kamieniowi
Oczy, zmarszczkę na czole
Na stole jak pisanka leży

Chciałam dać twarz rzece
Uciekała z nurtem
To kołysała się w spokojnej toni

Malarz wziął moją twarz i zamknął
W ramie obrazu nie czekając
Aż się z nią pożegnam

Tyle ich w lustrach, kalużach

Dzieci Zamojszczyzny

Mała zaciśnięta piąstka
malutka
ciepła jeszcze ze snu
mała stopka wrośnięta
drżeniem w ścieżkę
ciężka od chwili przerażenia
od huku wystrzałów
padających na ziemię ciał
tylu bliskich leży
odpoczywają w niemym grymasie ciała
mała zagłada
wioska mała wśród pól Zamojszczyzny
tylu ich naraz do nieba

Dzisiaj mogę zamknąć książkę
otworzyć oczy ze snu

Mira Umiastowska

44

44 ściąga uwagę
to może ważna data
to na pewno ważna data
to może też numer ulicy
lub liczba fotografii

w skupieniu ciszy
umarłych zdarzeń powtarza się cykl
coraz to zaplątany
w plus minus nieskończoność
znak powracających rotacji
i błędnych przeinaczeń

dostałam dwie czwórki, mamó
z matmy i z języka obcego
z historii potknęłam się o 44
tyle tych sprawdzianów, mamó
nie wiem, czybym taki zdała...

Praca domowa: Czas zakłóci zwycięzcę...

w domu kolejna klótnia z czasem
na zewnątrz – deszcz nuklearny
dzieci nie rodzą się już bez alergii
tylko wypięte brzuchy czarne
nie boją się smug na niebie...

między cebulką a stekiem
chichocze zachłanność

sponiewierani członkowie władzy
stroją instrumenty zabijania...
– ... domowego karalucha – myśli Staś... –
Czas zakłóci zwycięzcę...
– dziwny tytuł jak na wypracowanie...

Na arenie

ruchy pod ziemią
drgają nieboskłonem
wtedy pomiędzy sypie grad
dopóki nie złapiesz
pokonasz byka –
corrida trwa

zamienia grad
w mrożoną krew
bezruch bezdech bezmiar
pikador w sercu nosi gniew
dopóki tętent kopyt gna
corrida trwa

dopóty nie opuści piekiel
lecz serce czyste
skraca ból
szpada omija serce bydłęcia
pikador wie corrida trwa
byk wraca do wrót bezpieczeństwa

a choćby wygrał i honor
zwycięskie z trybun spadły oklaski
sztuka jest sztuką
dla tłumu – gra
pikador wie
na arenie zwycięzca jest nagi

Mały książę

...A ty wciąż mały książę
Bądź... bądź...

Nauczyłeś się wiązać krawat
i koniec z końcem
prać skarpetki... pociągać za spust
przeliczać płatki róż...
przemnażać banknoty
ale... ja nie o tym...

Przerobiłeś wiersze
na prozy niedosyt...
policzyłeś gwiazdy... sondujesz planety
uprawiasz kochanki
sprytem wyuczonym
odchodzisz od zmysłów
w topiel dojrzałości...

Naprawiasz awarie
nadsterujesz dronem...

Karmisz węże w kieszeni
malwersujesz przyjaźnie
miarą wielkiej mocy
urośleś
i jesteś za duży na tę jedną ziemię

Aż niekiedy samotność
lzę pustynną wymusi
zaplanujesz powrót w głąb siebie
do róży...
myślisz – to nie błąd...
ale... róża zwiędła...

A ty wciąż mały książkę
wciąż... wciąż...

Komórki do wynajęcia

Manolo zwykle zaczyna od pierwszego zdania. Dalej już idzie. Zapasu tlenu starczy na trzy strony rękopisu. Kiedy wykona głęboki wdech, wie, że skończył.

W drodze zatrzymuje się kilka razy, ale na krótko. Tak jak teraz. Ot, o poranku. Zimowym, niedzielnym poranku, który też się zatrzymał.

Wzajemne milczenie było jednak pozorne, bo śnieg wołał na rozpuszczenie, a Manolo zaraz zacznie wzywać utrapienie nie do rozpuszczenia.

Świetlisty anioł, co zza okna się wylania...

– Anioły są takie wytarte. Daj spokój z aniołami. Mają takie cmentarne, stare gęby...

Ale Manolo anioły widział inaczej. Wszystko można im wcisnąć.

–...żeby tak tylko się spełniało... no ale cóż... anioły też ludzie...

Czasem cuda się zdarzają i wtedy dokładnie nie wiadomo, kto za tym stoi.

Wystarczy czegoś bardzo chcieć!

Niekiedy zasada się sprawdzała. Jak znalezione stare pigmenty w czasie malowania. Była potrzeba – były pigmenty. Bez wychodzenia z domu.

Chociaż z tym, to ostrożnie, bo jak się zasiedzisz, to ci garnki wcisną albo jaki kredyt i... ugotowany. Wnuczek oczywiście, bo ty już nie zdążysz.

– Tak więc lepiej takiej schedy nie zostawiać – myśli Manolo, chociaż wnuczka nie ma. Tak jak w ogóle niewiele ma, a i do powiedzenia także, tak żeby się liczyło, żeby kto chciał słuchać.

Przypasowanie „na siłę” niekiedy dawało skutek. Zwłaszcza kiedy szukał „znaków”. Ukierunkowywał myśli i wzrok, i szedł za nimi, intencjonalny przegląd czyniąc. Zdarzało się, że działało. Ale wtedy baaardzo chciał... I znalazł... Czerwony koral. Duży drewniany. W miejscu osamotnionym, jakby niepotwierdzonym do znajdowania cudów.

Teraz też chciaa...!

Logiczne myślenie nakazywało grać, żeby wygrać, co nie było oczywiście regułą, ale szanse zwiększało. A że teraz chciał, logicznie rozpostarł już wszystkie czynniki. Uruchomił. Puścił grę i... nic. Jakby ludzie nie rozumieli, że teraz ich ruch.

– A może twój ruch jest za mały? – podpowiada anioł – i oni go nie zauważyli.

– Zauważyli, tylko są wybredni. Wybredni jak nic.

– I nic już nie możesz zrobić?...

– No, tego nie powiedziałem. Ale moje chcenie nie może chyba dotyczyć ludzi. Oni w to nie wchodzi. Nie wierzą.

– A nie wystarczy ci twoja siła?... Że ty wierzysz?

– Moja wiara i siła słabną.

– Nie możesz się załamywać!

– Mogę. Właśnie to robię.

– Na pewno jest ktoś, na kogo musisz poczekać. Chyba nie chciałbyś tak wszystkich z kolejki.

– No nie, nie! Ale miałbym w czym wybierać.

– Jak w ulegalkach?

– Jak w ulegalkach.

– Ale to są ludzie! Nie ulegalki

– Też się ulegli... ulegli.

– Manolo, opamiętaj się! Ulegli się, to jest urodzili, po coś. Każdy ma swoją misję. Tylko nie zawsze zdąży ją odkryć.

– Ja nie mam czasu!

– Nikt nie ma czasu. I każdy ma czas. Tylko nie przez tłum Manolo! Nie przez tłum!

– Mój czas ucieka!

– To go goń!..

– Mądrała – burknął do siebie Manolo. – Powiedział i się rozplynął. A ty odsłoń zasłonkę i patrz jak śnieg się rozplywa. Jak życie się rozplywa. Bez cudów. – A może za mało chce? – pomyślał.

– Nie wszystko zależy od ciebie. Zrobiłeś, co mogłeś. Teraz poczekaj i obserwuj – dosadnym tonem deklarował już jakby zza chmur, zdematerializowany anioł. Dziwne. Jakby do tej pory był materia... – I czasami wyjdź naa przeciwiw! – doniosło przeciągłe echo.

– Mądrała... Jakbym nie wychodził? – odburknął z wyrzutem Manolo.

– „Stwórz w myśli stan idealny, a potem zacznij wypełniać lukę” – pamiętał ćwiczenie na dobry biznes. Słowa, które teraz milczkiem dotarły.

Zapatrzył się chwilę na ośnieżone przy siatce tuje i zadumał. „Jego” wiewiórka znów przykicała. Sprytem, z jednej na drugą... z jednej na drugą... aż do orzechowca, na którym coś tam jeszcze zawsze potrafiła znaleźć. Sprytna – pomyślał. Za każdym skokiem, z drzew osuwały się tunele śniegu. Jednak było trochę mrozku...

Przyszedł mu do głowy nowy tytuł ogłoszenia: „Wiewiórki do wynajęcia!” – Była kiedyś taka zabawa... A nie, to były „komórki”... ale wiewiórki też w niej były.

Jego zabawa polegała teraz na: „Wynajmę pokój”!...

„Wynajmę wiewiórkę!” – przychodziły kolejne pomysły...

Ciekawe, jak taka wiewiórka może przyczynić się do rozwikłania jego dylematu. Bo że przyczynić się może, wiedział na pewno...

Wystarczy tylko chcieć?!

Tymczasem poczłapał do strychowych zapasów orzechów włoskich, spod drzewa jesienią zbieranych. Zanurzając rękę w jutowym worku, sięgnął sporą garść, w której mieściło się orzechów siedem. Dokładnie tyle, którego się urodził.

Otworzywszy drzwi na zewnątrz, z zamachem rzucił zawartość dłoni pod gruszę. Była bliżej.

– Masz! Zbieraj sobie!..

Dostawa zapasów w miejsce niestandardowe, wiewiórcę zamętu nie wprowadzała, chociaż mogła. Zawsze potrafiła je odnaleźć. Wiewiórka...

– Wiewiórka ma kilka dziupli i zawsze jest u siebie – myśli Manolo. – Ludzie szukając swojej dziupli, trafiają na nie swoje... Dowcip chyba i tak polega na tym, żeby odnaleźć właściwe orzechy...

Chyba skończył. Przekroczył nawet trzy strony odręcznego zapisu, tylko jakoś westchnienia nie było...

– No... teraz Manolo!... O key. Teraz lepiej?... Jeszcze raz... i jeszcze... i już... stop! Stop, stop! Wystarczy, wystarczy...! Żeby tak oddechem miażdżyć orzechy... co?

Z czubka choinki papierowy anioł puszczał oko. Anielski włos jakby mu się trochę przykurzył... Manolo westchnął...

– Czas rozebrać... żeby znowu przez pół roku nie zrzędziła...

Było już daleko po Trzech Króli...

Być i być...

Nie ma gorszej świętości niż ta, która dążąc do Boga, traktuje ludzi. – Łza spłynęła do oka, skapnęła do serca, rozrzedziła krew...

– Nie rozmiękczać się – usłyszał głos. – To tylko inny wymiar. Nie możesz się czuć odrzucony tylko dlatego, że ktoś myśli inaczej. Osoby znaczące też zmieniają znaczenie. Może cierpią w swoim sposobie, którego ty nie rozumiesz? I na nic im twój sposób myślenia. Są w sobie. Niedostępni a narzucający swoją interpretację świata jako jedynie słuszną. Reszta „powinna” pójść ich drogą. Będą ci o tym przypominać w sposób upierdliwy i nękający. Jeśli nie przyjmiesz ich wizji – jesteś niżej. Jesteś gorszy. Ubogi. Ubogi duchem. Jak robak, który się nie liczy. Nie ma znaczenia dla świętości. Robaki się wymiata spod ołtarza. Robak się nie modli. Właściwie, czemu służą robaki?

No, chyba że świętojańskie...

Więzy krwi niejednokrotnie wprowadzają nas w błąd. Wtedy bliscy okazują się niebliscy. Taki psikus...

Wtedy musisz szukać gdzie indziej. Czasem tak niewiele ci brakuje do spełnienia – myślisz. Wtedy lepiej taką myśl opuścić. I po prostu robić swoje.

Za siebie raczej nie warto się oglądać. Zwłaszcza na porażki. Jeśli szukasz siły, w nich jej nie znajdziesz. Jeśli szukasz siły, wspomnij sukcesy spotkane na drodze, którą szedłeś. I ciesz się ich mocą. Doszedłeś już dość daleko, zbyt daleko, żeby zawracać. Spójrz, ile zrobiłeś. Idź dalej...

Rzuć stare kapoty, zwłaszcza cudze. Oni ich nie chcą, więc i ty ich nie nieś. Nie musisz ich dźwigać. Masz swój krwiobieg...

...Żeby to było takie proste – westchnął Manolo. – Chusteczki z monogramem są takie niemodne...

Wytarł lzy dużą szmacianą chustką w kratę. Wysmarkał nos. Poprawił raz jeszcze. I okulary.

Niedawno pomyślał sobie, że ludzie dzielą się na tych, którzy wciąż dążą do tego, żeby być i na tych, którzy po prostu są.

Zastanawiał się teraz, w której z tych kategorii odnalazłby siebie. Zaczął przeszukiwać. Wprawdzie stale dążył do tego, żeby być, ale czy naprawdę był? Czy dążenie owo nie determinowało mu wiecznych poszukiwań? I ciągłego sprawdzania siebie i udowadniania sobie, zaświadczenia o prawie do istnienia zgodnego z przeznaczeniem własnym, które niekoniecznie zdążył odkryć? Prawem własnej drogi? Niekoniecznie zgodnej ze ściegiem na chusteczce, którą zasmarkał...

– Czy czasem nieustanne dążenie do bycia, nie pozbawia mnie bycia naprawdę? – powiedział do siebie głośno.

– A może... tolerancja wobec samego siebie uchroni mnie, przed narzucaniem przez innych ich ekspansywnej boskości? – domyślał po chwili i osuszyszyszy serce, poszedł namoczyć rodowe chusteczki.

Jednak lubił te z batysciuku...

Jadwiga Wielgat-Hejduk

Ząb

Kończyliśmy śniadanie, gdy mąż krzyknął:

– Ułamał mi się ząb!

On przycisnął ręką swój policzek, a ja chwyciłam za telefon. Bez uzgodnienia wystukałam numer gabinetu stomatologicznego. W słuchawce usłyszałam miły głos rejestratorki.

– Mogę zapisać pacjenta za tydzień. A czy ząb boli?

– Tak, boli – odpowiedziałam z przekonaniem.

– Acha – teraz głos wydawał się nieco zniecierpliwiony – to zapiszę za dwa dni, na koniec wizyt.

Bez wahania przystałam na ten termin.

Z satysfakcją spoglądałam na wyraźnie niezadowolonego przebiegiem rozmowy męża i go uspokoiłam:

– Będiesz przyjęty dopiero pojutrze.

Spojrzał na mnie z wyrzutem.

Sprawdziłam w apteczce ilość tabletek przeciwbólowych, które zostały po uśmierzaniu bólu mojej ósemki. Mogą być mu potrzebne w krytycznej chwili. Moja dolegliwość dość szybko ustąpiła, a ja zrezygnowałam z wizyty u stomatologa.

Przez kolejny dzień chodziłam obok cierpiącego na paluszkach. Tylko raz zapytałam:

– Kochanie, czy ugotować ci potrawę nie wymagającą gryzienia?

Odpowiedź była krótka, niewiele wyjaśniająca. Brzmiała jak coś między chrząknięciem a mruknięciem. Za to jego groźny wzrok wskazywał, że tego tematu nie należy kontynuować. Ale klamka zapadła. Nie odwołam spotkania z dentystą.

Atmosfera w domu gęstniała z każdą godziną oczekiwania. Znałam te dni, pełne napięcia, paniki. Wiedziałam, że mąż stomatologa boi się bardziej niż kontroli Urzędu Skarbowego.

Wreszcie dotrwaliśmy do dnia wizyty.

– Ja prowadzę – oznajmiłam, biorąc kluczyki do samochodu.

– Nie! Ja pojadę – powiedział stanowczo.

– O nie! Bo jak ostatnim razem jechałeś do dentysty, to chwilę po uruchomieniu auta usłyszałeś w silniku podejrzane stukania i chroboty, i zamiast u lekarza znaleźliśmy się w warsztacie. Samochód okazał się sprawny, a wizyta przepadła.

W poczekalni nie było nikogo. Po kilku minutach z gabinetu wyszedł pacjent. Życzył nam powodzenia. Mój mąż stawał się coraz bardziej nerwowy. Ja zachowałam spokój.

– Tylko znowu nie mdlej, jak kiedyś przy zakładaniu plomby – przykazałam.

– To nie ze strachu, tylko na widok powabnej lekarki – próbował żartować.

Tamta dentystka, obiektywnie patrząc, była starsza i brzydsza niż ja, a przecież na mój widok mąż nie słabnie już od wielu lat! Tłumaczenie było tylko prymitywnym wykrętem.

– Proszę do gabinetu! – młodzianka asystentka lekarza zaprosiła szarawego na twarzyska skazańca.

Spokojnie zaczęłam przerzucać kartki kolorowego pisma. Z gabinetu nie dochodziły żadne niepokojące odgłosy. Czyżby zabezpieczyli drzwi materiałem dźwiękochłonnym? Nikt mnie nie wzywa do ratowania omdlałego?

Po pół godzinie ukazał się mój mąż wyraźnie zadowolony, z zagadkową miną. Znałam ten wyraz twarzy, który czasami zwiastował coś niemiłego. Mimo to wskazałam mu fotel.

– Odpocznij chwilę – proponowałam.

– Wracajmy do domu, może później porozmawiamy o leczeniu naszych zębów – odpowiedź zabrzmiała niepokojąco.

W tym momencie drzwi do gabinetu uchyliły się i dobiegł do mnie tubalny głos, a w głębi pokoju zobaczyłam całkiem lysego, dwumetrowego atletę z bicepsami jak arbuzy.

Widząc tę postać, wyobraziłam sobie, że tak musiał wyglądać średniowieczny kat, który z wielką przyjemnością torturował niewinnych. A teraz dentysta o takiej posturze zapewne wrywa zęby bez znieczulenia. I też sprawia mu to radość. Wtedy wyrzut sumienia mnie skarcił, szepcząc do ucha: „Oj nieładnie, oddałaś swojego męża w ręce dentysty sadysty!”

Przyszło mi na myśl, że ja sama nie zdecydowałabym się na leczenie u tego lekarza.

Przyznałam się w duszy, że jednak się boję. Mąż wyczuł mój lęk.

– Chyba nie bardzo bolało? – spytałam, chcąc dodać sobie odwagi. Mnie także czeka wizyta u stomatologa!

Widząc mój wyraz twarzy, szelmowsko uśmiechnął się.

– Moja droga! Niedługo sama się przekonasz! Zrobiłem ci niespodziankę. Właśnie zapisałem cię do tego doktora na najbliższy wolny termin. Przecież dwa tygodnie temu narzekałaś, że boli cię ząb!

Piotr Wilczkowski

A przecież jeszcze...

Jajko

Podobno surowe, ale to nie do końca wiadomo, sturlało się z desek stołu.
Już nie na blacie, a jeszcze, przez to okamgnienie, jednak całe posadzki
[nie osiągnęło...

Ta chwila ciągnie się pod górę.

I niby już, a przecież jeszcze.

Dlaczego zatem – milczy czas, który oczywiście wie?

I jeszcze lustro,

bez drugiej strony szyby, takie mądre przecież.

14 lipca 2013

Monolog o dialogu

To co moje tak bardzo różne od tego co twoje.

Ty masz swój, a ja preferuję inny punkt widzenia.

Nie umiem nazwać wartością tego co ty cenisz

Co nie znaczy, że nie będziemy mieli sobie nic do powiedzenia.

Owszem chętnie posłucham twojego wyводу

Bo spodziewam się, że to co mówisz z serca twego płynie.

Lecz nie liczy, że ci pozwolę krzywdę sobie zrobić.

Ja zmian nie potrzebuję i tu na mój opór napotkasz jedynie.

Nie chcę być tobą, bo się w niczym gorszy nie czuję od ciebie

I tylko gdybyś sztydził lub niszczył to zaprotestuję.

Zapraszam przyjdź. Ja ci w najdrobniejszych szczegółach opowiem

W oparciu o co ja swoje życie i szczęście buduję.

I nie dziw się, że sobie pozwolę zwrócić twą uwagę

Na to w twym świecie, co nie znajduje akceptacji mojego sumienia.

Jeśliś mądry to głęboko przemyślisz to co ci opowiem

Bo to bzdura, że lepiej się żyje gdy się nie ocenia.

Jeśli ty czymś podobnym odpowiesz mi bracie

To myślę, że świat się od tego wcale nie zawali.

Może tylko nasz wspólny czas popłynie dwoma prędkościami
Więc z różną cierpliwością na to co najważniejsze będziemy czekali.

Noc sylwestrowa 2014/2015

Ostatnia śmierć Ewy

Krok zrobię do następnej chwili
Kiedy na życie braknie siły

I sama siebie poprowadzę
W samotność aksamitnej ciszy

Chcę być gdzie bywam gdy mnie nie ma
Tak nieskończenie wiele razy

I tylko drzwi tym razem trzasną
Pukanie echem nie odpowie

To nie jest powód do zdziwienia
Różnicy przecież tylko tyle

21 sierpnia 2014

Panie, skąd się to panu?

Mówią, że z wyobraźni. Z uczucia, z pamięci?
Z potrzeby chwili. Z patrzenia przed siebie.
Z myśli? Ale tej jeszcze nie ubranej w słowa.
Ze snu, co na krawędzi świtu nie wie w którą stronę.
Czasem z marszu...
Z odgłosu, zapachu, nastroju. Z pustki wnętrza.
Ze środka, z dna, wyrwanej klepki i zatęchłego smrodu zagrzybionej sieni.
Czasem bywa, że z łąki. Pachnącego pola.
Z obawy, niemożności, potrzeby spokoju.
Z chłodu.
Z tęsknoty białej kartki, a często z jej braku.
Uchwycone? Bezwładnie na papier opadłe?
Tropy, które donikąd a przecież prowadzą.

31 lipca 2015

Sierpniowe niebo

Są tacy, którzy patrząc nocą w gwiazdy – wiedzą.
Znają imiona.
Ja tylko widzę. Niewiele. Jednak one z upływem czasu i tak się oswiają.
Spadają dopiero wtedy gdy precyzyjnie zredaguję życzenie.
Porozumienie kwitują jasną krechą.
Pozornie akceptują mój czas.
I tylko te zupełnie dla kosmosu nieważne są niecierpliwe.
Suną z jednego krańca nieba w drugi. Wtedy wiem, że kryje się za tym
[człowiek.
Te stojące w miejscu zupełnie się mną nie przejmują.
Mogę sobie pisać.
One wiedzą, że i tak będzie tylko o mnie.

2015.08.15

* * *

Tak być.
Z lekkością cienia.
Sam na sam ze sobą.
Ze zmysłami bez zobowiązań i naleciałości.
Wśród gwiazd, o których blasku jeszcze nikt nic nie wie.
Z postawionym pytaniem – wciąż bez odpowiedzi.
Przed lustrem co nie widzi.
Sam bez samotności.
Nawet – nie kroplą, która na taflę spada w idealnej ciszy.
Nie – białą kartką, co nie ponagla kiedy myśl się rodzi.
Jedynie chwilą, którą czas zgubił więc nie przeminęła.
Z samodzielnym wyborem kolejnego kroku.
I uśmiechać się:
Twarzą, od lat już tylko przez siebie brużdżoną
i spojrzeniem, które dostrzegając istotę nie płoszy nikogo.
Tak być, z lekkością cienia, sam na sam ze sobą.

15 lutego 2015

Spis treści

Wstęp (<i>Piotr Müldner-Nieckowski</i>)	5
Katarzyna Marta Chrzanowska	
***	11
Po... mieszanie	11
Rozwód	11
***	12
Odosobnienie	12
Iluzje	13
Jakub Domoradzki	
Odkrywanie	14
W końcu szczęśliwy sen	14
Sceny małżeńskie	15
Maria Domżał-Wasilewska	
Tai chi	16
Seminarium poetyckie	17
Hanna Fołtyń	
Ptak z lękiem wysokości	19
Hanna Fołtyń	
Raj utracony	22
Podróże ostateczne	22
Niezdobyta	23
Jolanta Maria Grotte	
Niezapomniana podróż	24
Zofia Kamola	
nić Porozumienia	27
Sfumato na ulicy	27
W lesie	28
Psalm dla muzyki	28
Walentyna Karwowska	
Zryw	30
Demografia	31
Rytm	31
Beata Ewa Komarnicka	
Krawcowe	32
Ala i Tosia	34
Kura	35
Ząbek	36

Beata Ewa Komarnicka	
Eureka	38
Kocham	38
Lipowy zapach wieczoru.	39
Na mym oddechu	39
Postanowienie	40
Zegarki	40
Maria Kościuszko	
Stary człowiek i pozostałe książki	41
Była kiedyś nauczycielką.	42
List do pana F.	43
Miejsce	44
Anna Krzewska	
czekanie	46
nie patrz tam	46
frenetycznie zuchwale	47
jestem	47
Ewa Kubiak-Kokoszka	
* * *	48
* * *	48
Krytyk i poetka	48
Anna Kulesz	
Świdermajery wiosną	50
Rozmowy przy kawie.	50
Weranda pełna wspomnień	51
Z cyklu SNY	51
Spacer po lesie	52
Anna Kulesz	
Dzień Kota	53
Halloween – nie obchodzę	54
Sebastian Liberadzki	
Nic więcej	56
Renata Lipińska-Kondratowicz	
Stare domy	59
Moment w autobusie	59
Do Rafała W.	60
Krystyna Łagowska	
W kropelce rosy	61
Zaćmienie księżyca	61
Krzyżówka	61
Motyl.	62
Most porozumienia	62
Niewidzenie	62
Bieg za cieniem	63

Wachlarzem snów	63
Ponad horyzont czasu	63
Schody	64
Zagubiony dźwięk.	64
Maria Mickiewicz-Gawędzka	
Bajka z pazurem	65
Po zachodzie Słońca	66
Wiedźmy nocą	67
Celina Mioduszevska	
Pytanie bez sensu	69
Rachunek	69
Celina Mioduszevska	
Samotnica	70
Anna Jolanta Miziołek	
Do Prezesa III	73
Smak soku	73
Języki.	74
Edyta Moskwa	
Pod kontrolą	75
Kamila Nowakowska	
* * *	78
* * *	78
Agnieszka Ochenkowska	
Pytasz kto pisał	80
Jadwiga Pilińska	
Detonacja	81
Dłaczego detonacja	82
Krystyna Rejniak	
O Najmilszej...	83
Nikt?	83
Woda.	83
Światło	84
Kartki....	84
Dzień.	85
Orzeł Biały	85
Rejs	85
Koncert	86
Marlena Maria Semczyszyn	
Sen	87
* * *	87
Jesienna	88
* * *	88
* * *	89

Jadwiga Siwińska-Pacak	
Parakulinarny przepis na szczęście	90
Jadwiga Siwińska-Pacak	
Wyczekane tango	91
Hanna Sławińska	
Wtorek godz 16	92
Warszawska Szkoła Pisania	92
Biały wiersz.	93
Madonna	94
Śmierć	94
Sławomir Stalmach	
Człowiek roślinny.	95
Dąb o imieniu Syn	95
Za darmo	96
Ślepiec	96
Iwona Świerkula	
Żona marynarza	98
Stary dom w Falenicy.	98
Epitafia	99
Rzeźbienie pościeli	99
Lidia Troć	
Moja piosenka...	100
Strój	100
Pragnienia	101
Ona	101
* * *	102
Dzieci Zamojszczyzny	102
Mira Umiastowska	
44.	103
Praca domowa: Czas zakłóci zwycięzcę...	103
Na arenie	104
Mały książę.	104
Mira Umiastowska	
Komórki do wynajęcia	106
Być i być...	108
Jadwiga Wielgat-Hejduk	
Ząb	110
Piotr Wilczkowski	
A przecież jeszcze...	112
Monolog o dialogu	112
Ostatnia śmierć Ewy	113
Panie, skąd się to panu?	113
Sierpniowe niebo	114
* * *	114

ISBN 978-83-938439-1-6

Warszawska Szkoła Pisania
Stajnia Literacka SPP

<http://spp.warszawa.pl>
stajnia@spp.warszawa.pl



Stowarzyszenie
Pisarzy Polskich
Oddział Warszawa